

Jacques Cazotte

DIABEL ZAKOCHANY

W dwudziestym piątym roku życia byłem kapitanem gwardii przybocznej króla Neapolu. Często hulaliśmy w gronie kamratów, jak czynić to zwykła młodzież, oddając się grze i miłostkom, póki nastar-czyła kiesa, a gdy wyczerpały się środki, z braku czego lepszego filozofowaliśmy na swych kwaterach.

Pewnego wieczoru, kiedyśmy się przy butelczynie wina cypryjskiego i suszonych kasztanach dostatecznie nagadali, rozmowa zesłała na kabałę i kabalistów.

Jeden spośród nas twierdził, iż jest to wiedza istotna, oparta na całkiem pewnych doświadczeniach. Czterej inni, młodszy, twierdzili natomiast, że kabała jest stekiem nonsensów, źródłem matactw, dobrych bądź do oszukiwania łatwowiernych, bądź do zabawiania dzieci.

Najstarszy z nas, z pochodzenia Flamandczyk, kurzył jeno swą lulkę, minę miał roztargnioną i nie odzywał się słowem. Obojętny wyraz twarzy, jego roztargnienie zwróciły mą uwagę pośród hałasu i zgiełku, który nas ogłuszał i nie pozwalał mi brać udziału w dyspucie zbyt bezładnej, aby mogła mnie zaciekać.

Znajdowaliśmy się w pokoju palacza; noc zapadła, towarzystwo rozeszło się i zostaliśmy we dwóch: ów najstarszy i ja.

Gospodarz palił flegmatycznie w dalszym ciągu. Ja zaś wsparłem łokcie na stole i milczałem. Wreszcie towarzysz odezwał się pierwszy.

- Młodzieńcze, byłeś przed chwilą świadkiem wielkiej wrzawy. Czemuś nie wmieszał się do sporu?

- Wolę bowiem milczeć - odparłem - niżli chwalić lub ganić to, na czym się nie znam. Nie wiem nawet, co oznacza słowo kabała.

- Ma ono wielorakie znaczenia - odrzekł. - Nie o nazwę jednak chodzi, lecz o rzecz samą. Czy sądzisz, że istnieje może wiedza ucząca przemiany metalów i poddająca duchy władzy naszej?

- O duchach, o swoim zaś przede wszystkim, nie wiem nic, z wyjątkiem tego, że pewien jestem jego istnienia. Co zaś tyczy się metalu, znam wartość dukata przy grze w oberży lub gdzie bądź indziej, nie umiałbym jednak twierdzić na pewno, ani niczemu zaprzeczyć, gdy mowa o istocie tych lub innych kruszców, o przemianach ich oraz wpływach, którym podlegają.

- Młody przyjacielu, podoba mi się bardzo nieświadomość twoja; warta jest tyle, ile uczoność innych, gdyż ty nie błądzisz przynajmniej, jeżeli zaś nie jesteś wtajemniczony, możesz się nim stać. Ująłeś mnie sobą, swym otwartym charakterem i prostotą ducha. Wiem nieco więcej niż inni, przysięgnij mi pod słowem honoru, że zachowasz najściślejszą tajemnicę, obiecaj, iż będziesz postępował rozważnie, a staniesz się uczniem moim.

- Wyznanie twoje, drogi Soberano, cieszy mnie bardzo. Ciekawość jest największą namiętnością moją. Wyznam ci, że z przyrodzenia nie czuję skłonności do pospolitych nauk naszych. Zawsze zdawały mi się one nazbyt ograniczone i przeczuwałem tę sferę wyższą poznania, do której przy twojej pomocy wznieść się pragnę. Lecz gdzież jest ten pierwszy klucz do owej wiedzy? Według mniemania, głoszonego w dyspucie przez towarzyszy naszych, duchy same pouczają nas, czy można związać się z nimi.

- Otóż to właśnie, mój Alwarze! Nikt wiedzy nie zaczerpnie u siebie samego. Co zaś do możliwości obcowania z duchami, to dam ci natychmiast dowód niewątpliwy.

Wygłosiwszy to zdanie, Soberano wypalił lulkę do końca, stuknął nią trzykrotnie, aby wyrzucić resztki popiołu, i położył fajkę na stole tuż koło mnie. Po czym zawołał: „Calderonie, nabij fajkę, zapal ją i przynieś mi tu.”

Ledwo rozkazał, już spostrzegłem, że fajka znikła, i zanim zdołałem zastanowić się nad przyczyną tego dziwu lub zapytać, kto zacz jest ów Calderon spełniający rozkazy, fajka zapalona powróciła na swe dawne miejsce, a mój towarzysz wznowił swoje zajęcie.

Widziałem, że pali nie tyle dla smakowania tytoniu, ile po to, aby się napawać zdumieniem moim. Po czym wstał i rzekł: „Jutro mam służbę dzienną, muszę więc wypocząć. Idź i ty spać, bądź rozsądny, a zobaczymy się jeszcze.”

Wyszedłem, podniecony ciekawością i żądny zaznania tych nowych wieści, których mi Soberano miał udzielić. Widziałem się z nim nazajutrz i dni następnych. Jedno tylko miałem pragnienie; stałem się jego cieniem. Zadawałem mu tysiące pytań: na jedne odpowiadał wymijająco, na inne - tonem wyroczeni. Wreszcie zapytałem o religię wyznawaną przez podobnych jemu. „Jest to - odrzekł - religia naturalna.”

Zagłębiliśmy się w szczegóły i wtedy zauważyłem, iż zdania jego bardziej odpowiadają skłonnościom moim niżli zasadom; pragnąłem jednak cel zamierzony osiągnąć, przeto nie wolno mi było sprzeciwiać się.

- Rozkazujesz duchom - rzekłem mu - ja pragnę także obcować z nimi. Pragnę nade wszystko!

- Raptus z ciebie, towarzyszu! Za wcześnie jeszcze! Nie przebyłeś jeszcze okresu próby! Nie spełniłeś ani jednego z koniecznych warunków, a przecież dopiero wtedy śmiało przystąpić można do owej wzniosłej dziedziny.

- Tak? A czy długo czekać muszę?

- Ze dwa lata...

- W takim razie muszę skwitować ze wszystkiego! - krzyknąłem. - Umarłbym przez ten czas z niecierpliwości! Soberano, jesteś okrutny! Nie zdajesz sobie widocznie sprawy, jak płomienne jest moje pragnienie... Pali mnie po prostu!

- Młodzieńcze, sądziłem, że jesteś rozumniejszy. Zaczynam się lękać i o ciebie, i o siebie samego. Jak to? Chcesz wywoływać duchy bez wszelkich przygotowań?

- E, cóż mi się stać może?

- Nie mówię, że cię na pewno spotka jakieś nieszczęście. Jeżeli duchy potrafią owładnąć nami, to dzieje się to jedynie za sprawą naszej słabości i małoduszności. Gdy w gruncie rzeczy stworzeni jesteśmy do rozkazywania innym.

- Więc będę im rozkazywał!

- Mężne masz serce! Lecz pomyśl, jeżeli stracisz głowę? jeżeli w pewnej chwili struchlejesz?...

- Gdy o to tylko chodzi, abym się nie bał, to wyzywam je, niech spróbują mnie przestraszyć!

- Tak? A gdybyś diabła ujrzał!

- Samego księcia ciemności z piekła wytargałbym za uszy!

- Brawo! Jeżeliś taki pewny siebie, możesz spróbować; obiecuję ci moją pomoc. W przyszły piątek będziesz u mnie wraz z dwoma przyjaciółmi moimi na obiedzie i wtedy doprowadzimy całą przygodę do skutku.

Działo się to we wtorek. Na żadną schadzkę miłosną nie czekałem nigdy tak niecierpliwie. Nadchodzi wreszcie dzień umówiony. Zastaję u mego kamrata dwie osoby o wyglądzie niezbyt ujmującym. Zjadamy obiad rozmawiając o rzeczach obojętnych.

Po obiedzie proponuje ktoś przechadzkę pieszo do ruin Portici. Idziemy, przychodzimy na miejsce. Te szczątki najwspanialszych budowli, rozsypane, zburzone, rozrzucone, jeżyną zarosłe, budzą w fantazji mojej niezwykle obrazy: „Oto - powiadam sobie - przemoc czasu nad dziełem dumy i pracy ludzkiej.”

Wkraczamy na ruiny i wreszcie po gruzach i zwaliskach, prawie po omacku, dostaliśmy się na miejsce tak ciemne, że ani promyk światła z zewnątrz przeniknąć doń nie mógł.

Towarzysz mój prowadził mnie za ramię. Nagle przystaje i zatrzymuje mnie. Wtedy jeden z nieznanym krzesa ogień i zapala ogarek. Miejsce, w którym byliśmy, rozjaśnia się nieco, spostrzegam, że znajdujemy się pod dość dobrze zachowanym sklepieniem o dwudziestu pięciu stopach obwodu, skąd cztery wyjścia prowadzą. Zachowujemy najgłębsze milczenie.

Trzcina,

która służyła mu za podporę w drodze, zakreśla towarzysz mój koło na miękkim piasku pokrywającym ziemię, następnie rysuje kilka niezrozumiałych znaków i wychodzi z koła.

- Wejdz do tej pentagramy, mój śmiałku - rzekł do mnie - i nie wychodź przed otrzymaniem dostatecznych rękojmi.

- Wytłumacz się lepiej, jakież to mają być rękojmie?

- Gdy wszystko rozkazom twym podlegać będzie. Lecz pamiętaj, narazisz się na największe niebezpieczeństwo, jeżeli przedtem, ze strachu, uczynisz jakiś krok fałszywy.

Co mówiąc, daje formułkę wywołania zaklęcia; krótką, dobitną, przeplatana pewnymi słowami, których nigdy nie zapomnę.

- Zakłęcie to - powiada - wygłoś śmiało, a potem trzykrotnie zawołaj wyraźnie: „Belzebubie!”

Przed wszystkim nie zapomnij, coś mi obiecał!

Przypomniałem sobie, że się przechwalał, iż diabła za uszy wytargam.

Dotrzymam słowa - odparłem - chcąc uniknąć zarzutu przechwałki.

Życzymy ci tedy powodzenia - powiada - a kiedy będziesz gotów, daj nam znać. Stoisz na wprost drzwi, za którymi nas znajdziesz.

Po czym wychodzą.

Nigdy chyba żaden fanfaron w gorszym nie znalazł się położeniu. Była chwila, kiedym chciał ich przywołać z powrotem. Lecz zbyt wiele znieść bym musiał wstydu. Poza tym równałoby się to straceniu nadziei na wszystko. Stałem więc mocno na miejscu i namyślałem się przez chwilę.

„Chcieli mi strachu napędzić - rzekłem - i przekonać się, czy nie jestem trzóchem. Ci, którzy chcą mnie wypróbować, stoją o dwa kroki stąd, muszą się mieć na baczności, gdyż nie bez tego, aby podczas wymawiania zaklęcia nie próbowali przerazić mnie. Trzymajmy się!

Kiepskim żartownisiom odpowiedzmy żartem.”

Krótko trwało to rozmyślanie przerywane krzykiem sów i puchaczy zamieszkujących okolicę i samą pieczarę, lecz dodało mi nieco otuchy. Stoję mocno w nogach osadzony, głosem jasnym i podniesionym wymawiam formułkę zaklęcia i naśladowując jego brzmienie trzykrotnie wołam w krótkich odstępach: „Belzebubie!”

Dreszcz przejął mnie na wskroś, włosy zjeżyły się na głowie.

Nagle, kiedy właśnie skończyłem, w sklepieniu naprzeciw mnie otwiera się na oścież okno. Strumień światła, jaskrawszego niż dzienne, wypływa przez otwór, w którym znajduje się łeb potwornego zarówno przez rozmiary, jak i samą postać wielbłąda. Uszy zwłaszcza - nadmiernie wielkie. Ohydne widmo otwiera gębę i odzywa się głosem, odpowiadającym całości zjawy: „Che vuoi?” Całe sklepienie, wszystkie jaskinie okoliczne huczą, jakby się echem ścigały: „Che vuoi?”

Nie potrafię opisać sytuacji, w jakiej się znalazłem, ani wytłumaczyć, co właściwie podtrzymało mą odwagę, iż nie straciłem przytomności na widok tej zjawy i wśród strasznego huku grzmącego w uszach moich. Poczułem, że muszę zebrać wszystkie siły - pot zimny mógł je osłabić. Wytężyłem całą moc. Wielka musi być dusza ludzka i przedziwną posiadać odporność. Mnóstwo uczuć, obrazów i myśli obudziło się w sercu moim, przemknęło przez umysł i wraz podziało na mnie. Nastąpiło przesilenie, opanowałem trwogę. Utkwiłem w widmie wzrok nieustraszony.

- A ty czego chcesz, zuchwalcze, który się w tak ohydnej pojawiaasz postaci?

Widmo przez chwilę zwleka z odpowiedzią.

- Wołałeś mnie - mówi wreszcie głosem nieco przyciszonym.

- Czy niewolnik - powiadam - przerazić chce pana swego? Jeżeli przyszedłeś po moje rozkazy, ukaż się w odpowiedniejszej postaci i przemawiaj pokorniej.

- Mistrzu - odpowiada widmo - w jakiej mam zjawić się postaci, abym zadowolili swego pana?

„Pies” - pomyślałem natychmiast, a przeto rzekłem: „Przyjdź jako piesek!” Ledwo zdążyłem rozkazać, a już potworny wielbłąd wydłużył gardziel na szesnaście stóp, głowę opuścił aż na środek sali i wypluł białego pieska z miękką błyszczącą sierścią i zwisającymi aż do ziemi uszami.

Okno znów się zamyka, cała poprzednia zjawia znika i pod sklepieniem, w miarę oświetlonym, zostają tylko ja i pies.

Skacząc i kręcąc ogonem biega po nakreślonym kole.

- Mistrzu - odzywa się piesek - chciałbym polizać stopy twoje, lecz odpycha mnie ten krąg straszliwy, który cię otacza.

Zdobywam się na odwagę, wychodzę z koła i wyciągam nogę; pies liże ją. Chcę chwycić go za uszy, a on kładzie się na grzbiecie, jak gdyby się łąsił. Spozrzegam, że to suczka.

- Wstań - mówię mu - przebaczam ci. Widzisz, że jestem w towarzystwie; panowie ci czekają na mnie nie opodal, byli na spacerze, są pewno głodni i spragnieni; chciałbym ich uraczyć małą zakąską. Muszę mieć owoce, konserwy, lody i greckie wina. Zrozumiano? Zapal lampy i udekoruj salę, bez przepychu, lecz przyzwoicie. Przed końcem uczty zjawisz się tu jako pierwszorzędną śpiewaczką z harfą.

Dam ci znać, kiedy masz się pojawić. Pamiętaj! Zagraj rolę swą bez zarzutu, śpiewaj z uczuciem i zachowuj się godnie i powściągliwie.

- Będę posłuszna, mistrzu, lecz pod jakim warunkiem?...

- Pod warunkiem, że masz słuchać, niewolniku. Usłuchaj bez szemrania lub...

- Nie znasz mnie, mistrzu! Inaczej nie traktowałbyś mnie tak surowo; Jedyńm warunkiem, jaki mógłbym dodać, jest: ułagodzić cię i przypodobać się tobie.

Zanim jeszcze skończył, ledwo zdołałem się obejrzeć, rozkazy moje były już wykonane; zmiana dekoracji nastąpiła szybciej niż w operze. Mury sklepienia, przedtem czarne, wilgotne i omszone, nabrały miłych barw i przyjemnych kształtów. Była to sala marmurowa koloru jaspisu, wsparta na kolumnach. Osiem kryształowych żyrandoli, po trzy świece w każdym, rozlewały żywe i równomierne światło.

Po chwili zjawia się stół i bufet obładowany całkowitą zastawą do naszej uczty; najrzadsze owoce, najwyszukańsze słodocze i smakołyki. Porcelana, użyta do biesiady, pochodziła z Japonii.

Suczka w tysiątnych podskokach biegała po sali, łasząc się przede mną, jak gdyby chciała przyspieszyć pracę i zapytać mnie, czy jestem zadowolony.

„Biondetto - rzekłem - świetnie! włóż teraz liberię i powiedz tym panom znajdującym się w pobliżu, że czekam na nich i że nakryto do stołu.”

Ledwo odwróciłem oczy, gdy ujrzałem zgrabnie przybranego paza w mojej liberii, z zapaloną pochodnią w ręku. Wraca po chwili prowadząc za sobą towarzysza mego: owego Flamandczyka i dwu przyjaciół jego.

Przewidując wprawdzie coś niezwykłego przez samo zjawienie się zapraszającego paza, towarzysze* moi nie mogli jednak spodziewać się, że do tego stopnia zmieni się miejsce, w którym mnie zostawili. Gdyby nie to, że myśli miałem zbyt zajęte, zdziwienie ich bardziej

by mnie ubawiło. Wyraziło się ono naprzód w okrzyku, potem odmalowało się na twarzach, świadczyło o nim wreszcie całe zachowanie.

„Panowie - rzekłem - przez wzgląd na mnie odbyliście ten długi spacer, tyleż drogi pozostaje nam jeszcze, aby dojść do Neapolu; sądziłem więc, że nie pogardzicie tym skromnym posiłkiem i zechcecie mi wybaczyć łaskawie mały wybór oraz brak obfitości w tej przygotowanej naprędce kolacyjce”.

Nonszalancja moja wprawiła ich bodaj w większe jeszcze zdumienie niż zmiana dekoracji i widok wykwintnej uczty, do której ich zapraszałem. Zauważyłem to i, zdecydowany zakończyć rychło przygodę, której w głębi ducha nie dowierzałem, pragnąłem jak najbardziej ją wykorzystać, wysilając się na wesołość stanowiącą główny rys mego charakteru.

Nalegałem na nich, aby zajęli miejsca przy stole. Paź przysunął krzesła z podziwu godną bystrością. Siedliśmy. Napełniłem kielichy i rozdzieliłem owoce. Lecz ja jeden tylko mówiłem i jadłem, usta gości moich otwarte były tylko ze zdumienia.

Namówiłem ich wreszcie do napoczęcia owoców; uczynili to, widząc niefrasobliwość moją.

Wznoszę zdrowie najładniejszej kurtyzany: Neapolu. Wychylamy je. Opowiadam o nowej operze i o przebywającej tu od niedawna rzymskiej improwizatorce, której talent wywołał podziw na królewskim dworze. Zaczynam mówić o sztukach pięknych, o muzyce i rzeźbie, przy sposobności chwale kilka posągów marmurowych zdobiących salę. Na miejsce opróżnionej butelki zjawia się pełna, lepsza. Paź z pomnożoną gorliwością nie ustaje w obsłudze ani na chwilę. Ukradkiem rzucam nań spojrzenie. Mam wrażenie, że to bóg miłości w przebraniu pазia. Towarzysze mej przygody obrzucają go także skrycie spojrzeniami pełnymi zdumienia, rozkoszy i niepokoju. Monotonia tego położenia zaczyna mi się nie podobać; spostrzegam, że czas ją przerwać. „Biondetto - mówię do pазia - signora Fiorentina przyrzekła mi udzielić kilku chwil. Zobacz, czy jeszcze nie przyszła. Biondetto wybiega z pokoju.

Goście moi nie zdążyli nawet dać wyraz swemu zdumieniu z powodu tego zadziwiającego polecenia, gdy drzwi sali otwierają się i wchodzi Fiorentina trzymając w ręku harfę. Ubrana była w elegancką, lecz skromną sukienkę i kapelusz podróżny. Oczy jej zasłonięte były przejrzystym woalem. Stawia harfę przy sobie i wita obecnych z gracją i swobodą. „Don Alwarze - mówi - nie wiedziałam, że będziesz w towarzystwie, w przeciwnym razie ubrałabym się inaczej.

Panowie zechcą wybaczyć podróżnicze, że zjawia się w takim stroju...

Siada, my zaś jeden przez drugiego częstujemy ją resztkami naszej skromnej wieczerzy, które ona kosztuje przez grzeczność.

Więc pani tylko przejazdem w Neapolu? - pytam. - Czy nie można by pani zatrzymać tutaj?

Nie mogę, signorze. Dawniej zawarty kontrakt zmusza mnie do tego: podczas ostatniego karnawału w Wenecji okazano mi tyle uprzejmości, że musiałam obiecać, iż wrócę. Nawet zadatek wzięłam. Gdyby nie to, dałabym się skusić korzystnym propozycjom czynionym mi przez tutejszy dwór oraz nadziei powodzenia u szlachty neapolitańskiej, która w Italii przoduje w doskonałym smaku.

Obydwaj neapolitańczycy kłaniają się dziękując za uznanie. Cała ta scena wydaje im się tak prawdziwa, że gotowi są przetrzeć sobie oczy, aby przekonać się, czy czasem nie śnią.

Nalegam, aby artystka pokazała nam próbę swego talentu; powiada, że jest przeziębiona i zmęczona. Lęka się zresztą, że doznamy rozczarowania.

Wreszcie zdecydowała się na odśpiewanie recitativo z akompaniamentem i końcowej arii patetycznej z trzeciego aktu opery, w której ma debiutować.

Chwyta za harfę i bierze na niej kilka tonów małą, wydłużoną, miękką, białą jednocześnie i purpurową dłońią, której palce

zaokrąglają się w przedziwnie foremne paznokcie. Byliśmy zachwyceni, niczym podczas najpiękniejszego koncertu.

Dama śpiewa. Niepodobna sobie wyobrazić więcej głosu, duszy i wyrazu w śpiewie. Trudno dać więcej przy tak nieznacznym wysiłku. Byłem do głębi serca wzruszony i zapomniałem nieomal, że sam stworzył to urocze, zadziwiające zjawisko. Do mnie zwrócone były czule słowa i dźwięki jej śpiewu. Słodkie, niewysłowione, przenikające płomień jej spojrzeń przesywały woal. Ach, te oczy nie były mi obce! I kiedy wreszcie, o ile mi woal pozwalał na to, uchwyciłem wzrokiem rysy jej twarzy, poznałem we Fiorentynie szelmę Biondetto! Lecz strój niewieści uwydatniał bardziej niż liberia pazia elegancje i wdzięk całej postaci.

Kiedy skończyła śpiewać, nie poszczędziliśmy jej zasłużonych pochwał. Chciałem ją skłonić do zaśpiewania jakiej wesołej piosneczki, aby mieć sposobność podziwiania skali jej talentu, lecz odmówiła tłumacząc się, iż w tym nastroju nie wywiązałaby się dobrze z zadania.

„Zresztą - dodała - panowie zauważyli pewno, z jakim wysiłkiem spełniłam żądanie ich. Głos mój jest jakby matowy, odbiły się na nim niewygody podróży. Panowie wiedzą, że dziś nocą wyjeżdżam. Korzystam z wynajętego powozu, muszę więc stosować się do godziny odjazdu. Proszę zatem uprzejmie wybaczyć mi i pozwolić odejść.” Co mówiąc, wstaje i chce ująć harfę. Wyręczam ją, odprowadzam do drzwi, którymi weszła, i wracam do towarzyszy. Powinienem był wzbudzić wesołość, lecz dostrzegłem zmieszanie na ich twarzach. Uciekłem się do wina cypryjskiego, okazało się pyszne, przywróciło mi siły i przytomność umysłu. Podwoiłem miarę. A że stawało się późno, rozkazałem paziowi, który znów objął wartę za krzesłem, aby sprowadził karocę. Biondetto wybiega natychmiast spełnić me rozkazy.

- Czy masz tutaj karocę? - pyta Soberano.

- Tak jest - odpowiadam - kazałem zajechać, sądziłem bowiem, że w razie, gdyby wyprawa nasza przedłużyła się nieco, nie będziecie się sprzeciwiać wygodnej przejażdżce powrotnej. Wypijmy więc po jednym; i tak nie narazimy się na niebezpieczeństwo potknięcia się w drodze.

W tej samej chwili wraca paż w towarzystwie dwu roślących lokajów przybranych w barwy moje.

- Don Alwarze - rzecze Biondetto - nie mogłem aż tutaj sprowadzić karocy; stoi ona niedaleko, tuż przy ruinach otaczających miejscowość tę.

Powstajemy tedy. Biondetto i służba kroczą na przedzie, my za nimi.

Nie mogliśmy rzędem we czterech chodzić pomiędzy strzaskanymi cokołami i kolumnami. Soberano, który sam jeden znajdował się u mego boku, uścisnął mi dłoń.

- Dziękuję ci, przyjacielu, za tę ucztę wspaniałą - rzekł. - Będzie cię ona dużo kosztować.

- Przyjacielu - odpowiadam - szczęśliwy jestem, jeżeliś z niej zadowolony. Niechaj, ile chce, kosztuje!

Podchodzimy do karocy i znajdujemy jeszcze dwoje służby: woźnicę, pocztyliona i najwygodniejszy, jakiego sobie tylko życzyć można, pojazd. Czynią honory przy wsiadaniu i ruszamy bez trudu w stronę Neapolu.

Przez czas pewien nikt nie odezwał się słowem. Wreszcie jeden z przyjaciół Soberana przerwał milczenie. „Nie chcę bynajmniej, abyś zdradził mi swą tajemnicę, Alwarze, ale zawarłeś widocznie niezwykle jakąś umowę. Nie widziałem nigdy, aby ktoś był w ten sposób obsługiwany; pracuję już czterdzieści lat, lecz przez cały ten czas nie doznałem nawet czwartej części tych grzeczności, jakimi uraczono cię w ciągu jednego wieczoru. A co dopiero owo zjawisko niebiańskie, najcudowniejsze z możliwych! gdy tymczasem dla naszych oczu częściej istnieje złuda niżli radość! Co tu dużo gadać! Znasz się na rzeczy,

młody jesteś. W twoim wieku pragnie się zbyt wiele, aby mieć czas na rozważania. Młodość - to pogoń za rozkoszą."

Bernadillo (tak zwał się ów człowiek) mówiąc, przysłuchiwał się własnym słowom, miałem więc dość czasu na obmyślenie odpowiedzi.

- Sam nie wiem - odrzekłem - jak zaskarbiłem sobie tę wyjątkową łaskę. Nie wróżę jej jednak długotrwałości. Pocięgą będzie mi to, że dzielił ją z wiernymi przyjaciółmi.

Zauważno powściągliwość moją i rozmowa urwała się.

Milczenie jednak nasunęło refleksje. W pamięci mej powstało wszystko, com uczynił i widział; porównałem słowa Soberana i

Bernadilla i doszedłem do przekonania, że oto wplątałem się w najgorszą awanturę, w jaką tylko pusta ciekawość i

nieustraszonność wplątać mogły takiego jak ja człowieka.

Nie brakło mi przecież wykształcenia, wychowałem się bowiem od trzynastego roku życia pod okiem ojca mego, czcigodnego Don Bernarda Maravillas, i matki, Doni Mencía, najbardziej bogobojnej i zacnej niewiasty w całej Estremadurze. „O matko - wyszeptalem - co pomyślałabyś o synu swoim, gdybyś go była widziała! gdybyś go teraz zobaczyła! Ale dość tego, daję na to słowo."

Przyjechaliśmy tymczasem do Neapolu. Po odprowadzeniu przyjaciół Soberana wróciłem z nim do wspólnej kwatery. Wartę, przed którą przejechaliśmy, olśnił przepych mej karocy, lecz urok siedzącego na koźle Biondetta sprawił na widzach jeszcze większe wrażenie.

Paź odprawia woźnicę i służbę, bierze z rąk lokaja pochodnię i prowadzi mnie przez koszary do mego pokoju. Ordynans mój, bardziej jeszcze zdumiony niż inni, chciał zasięgnąć języka o tej nowej świcie, którą się otoczyłem. „Wszystko w porządku, Carlo - rzekłem wchodząc do pokoju - nie jesteś mi potrzebny. Możesz iść, jutro pogadamy."

W pokoju jesteśmy sami, Biondetto zamyka za sobą drzwi. Poczuję się obecnie w sytuacji mniej drażliwej niż przedtem, gdy

byłem w towarzystwie i gdy przechodziłem przez gwarne koszary.

Zebrałem myśli, aby zakończyć wreszcie tę całą historię. Spoglądałem na pazię; oczy utkwił w ziemi, rumieni się, najwidoczniej zmieszany i podniecony. Postanawiam wreszcie rozmówić się z nim.

- Biondetto, spisałeś się znakomicie, wykazałeś nie tylko sprawność, ale i dużo wdzięku.

Zapłatę pobrałeś z góry, sądzę więc, że jesteśmy skwitowani.

- Don Alvar zbyt jest szlachetny, aby mógł przypuszczać, że ta zapłata wystarczy na zwolnienie go z zobowiązań.

- Jeżeli należy ci się więcej, niż dług twój wynosi, słowem: jeżeli jestem ci coś winien, przedstaw mi rachunek. Nie obiecuję ci jednak, że go natychmiast ureguluję. Nie otrzymałem jeszcze pensji, a mam dużo długów: karty, oberża, krawiec...

- Niewczesne żarty!

- Mogę przestać żartować, ale tylko w tym celu, by poprosić cię o opuszczenie mego pokoju. Jest już późno, chcę się położyć.

- Niezbyt to uprzejmie wypraszać mnie o tej porze. Nie spodziewałam się takiego traktowania ze strony hiszpańskiego caballera. Przyjaciele pańscy wiedzą, że tu przyszłam; żołnierze i służba widzieli mnie, domyślili się mojej płci. Gdybym była zwykłą kurtyzaną, okazałby mi pan na pewno więcej wzglądów. Zachowanie się pańskie jest obelżywe i hańbiące. Każda kobieta poczułaby się poniżoną!

- Aha, więc teraz, aby pozyskać sobie względy, uchodzić chcesz za kobietę? Dobrze.

Pragniesz uniknąć skandalu? Nie chcesz wyjść zwykłą drogą? Wyjdź więc przez dziurkę od klucza!

- Jak to? czy doprawdy każesz mi wyjść, nie wiedząc, kim jestem?

- Czyż mógłbym nie wiedzieć?

- Nie wiesz! zapewniam cię, że nie wiesz! Jesteś do mnie uprzedzony. Lecz kimkolwiek jestem, leżę u stóp twoich i ze łzami w oczach o pomoc cię błagam. Nieroztropność większa bodaj niż twoja, nieroztropność, której jedynym usprawiedliwieniem może być to, że dla ciebie ją popełniłam, ach, ona to właśnie sprawiła, że zaryzykowałam wszystko, wszystko poświęciłam, aby ci być posłuszną, oddać się tobie, iść za tobą. Rozpętałam przeciw sobie najbardziej nieubłagane, najokrutniejsze pasje. Ty jeden możesz mi przyjść z pomocą, w twoim tylko pokoju znaleźć mogę przytułek. Czyż nie udzielisz mi go, Alwarze? Czy caballero hiszpański mógłby tak surowo i niegodnie postąpić z istotą słabą, która mu czułą duszę złożyła w ofierze, z istotą bezradną, słowem, z kobietą?

Odsunąłem się tak daleko, jak tylko mogłem, chcąc znaleźć jakieś wyjście z tej kłopotliwej sytuacji, lecz ona, czołgając się na kolanach, obejmowała nogi moje. Oparłem się wreszcie o mur.

- Wstań - powiadam - mimo woli odwołałaś się do mej przysięgi. Wręczając mi pierwszą szpadę, kazała mi matka przysiąc na jej rękojeść, że będę przez całe życie służył kobietom i ani jednej w potrzebie nie pozostawię bez pomocy. I kiedy pomyślę, że dziś mógłbym...

- W takim razie wszystko jedno dla jakiego powodu, lecz pozwól, okrutniku, że przenocuję dziś w twym pokoju.

- Zgadzam się i niechaj zgoda moja ukoronuje dziwaczność całej tej przygody. Urządź się tak, abym cię nie widział ani nie słyszał. Jeżeli zmącisz mi spokój, choćby jednym słowem lub ruchem, przyjdzie na mnie kolej zapytać cię wielkim głosem: „Che vuoi?”

Co powiedziawszy odwracam się i zmierzam do łóżka, aby się rozebrać.

- Może pomóc? - słyszę pytanie.

- Dziękuję. Jestem żołnierzem. Sam sobie poradzę. Kładę się.

Przez gazę zasłaniającą łóżko widzę, jak domniemany paż rozkłada w kącie pokoju zużytą matę znajoną w szafie. Siada na niej, rozbiera się, otula w mój płaszcz, przerzucony na jednym z krzeseł,

i gasi światło. Spektakl urywa się na chwilę. Lecz dalszy ciąg odbywa się w łóżku moim, gdzie trapi mnie bezsenność.

W czterech rogach łóżka, na baldachimie, wszędzie widziałem obraz pazia. Staralem się z uroczym tym obrazem skojarzyć potworne widmo z pieczary. Lecz daremnie: pierwszy dodawał tylko uroku drugiemu.

Pieśń melodyjna, którą tam słyszałem, to brzmienie cudownego głosu, te słowa wychodzące, zdało się, z serca - teraz w moim sercu brzmiały i dziwne budziły w nim drżenie.

„O Biondetto - rzekłem - gdybyś nie była stworem fantastycznym! gdybyś nie była tym ohydnym wielbłądem! Lecz jakiemuż to poruszeniu duszy porwać się daję? Przewyciężyłem strach, więc i to niebezpieczniejsze jeszcze uczucie wyrwę z korzeniem. Bo cóż mi ono przynieść może? Czyż pozbędzie się kiedykolwiek piętna swego pochodzenia? Blask jej słodkich, przejmujących spojrzeń jest okrutną trucizną. Te cudnie wykrojone różowe, świeże i na pozór tak naiwne usteczka potrafią tylko kłamać. A serce, jeżeli je posiada, rozpali się tylko dla zdrady.”

I gdy tak oddawałem się rozmyślaniom, nasuniętym przez miotające mną uczucia, księżyc stanął na bezobłocznym niebie i przez trzy wielkie okna rzucał promienie wprost do mej komnaty. Niespokojnie rzucałem się na łóżku. Nie było ono nowe - więc rozsunięło się nagle i trzy deski, podtrzymujące mój materac, z trzaskiem upadły na podłogę. Biondetto zrywa się i biegnie do mnie z krzykiem przerażenia. „Don Alwarze, co ci się stało?”

Mimo upadku nie straciłem jej z oczu i widziałem, jak wstaje i biegnie: miała na sobie koszulę pazia, a promień księżycy, padając na udo, odbił się z podwójną jasnością. Leżałem wprawdzie mniej wygodnie, lecz nie przejąłem się zbytnio całym tym wypadkiem: zakłopotanie poczułem dopiero wtedy, gdy znalazłem się w ramionach Biondetty.

- Nie stało mi się nic, odejź! - powiadam. - Nie biegaj boso po podłodze, przeziębisz się, odejź...

- Ależ leżysz tak niewygodnie!

- Z twojej winy. W tej chwili odejź, bo inaczej, jeżeli już koniecznie pragniesz być ukryta koło mnie, każę ci się przespać na tej pajęczynie w kącie pokoju.

Nie wysłuchała groźby do końca i wróciła, łkając cicho, na swą matę.

Noc minęła. Zmęczenie pokonało mnie, zdrzemnąłem się trochę. Obudziłem się dopiero za dnia. Nietrudno się domyślić, dokąd skierowałem pierwsze spojrzenie. Szukałem oczyma swego pazia.

Siedział na małym taburecie, zupełnie już ubrany, z wyjątkiem swego kaftana. Rozpuścił opadające aż do ziemi włosy, które

płynnymi i naturalnymi lokami opadały mu na kark, ramiona i oblicze. W braku czegoś stosowniejszego, rozczesywał je palcami. Nigdy jeszcze grzebień z piękniejszej kości słoniowej nie wędrował w gęstszym lesie jasnopopielatych włosów, nie ustępujących powabem innym wdziękom Biondetty.

Kiedy jakieś drobne poruszenie moje oznajmiło jej, że nie śpię, zgarnęła włosy, ocieniające ją, z twarzy. Proszę sobie wyobrazić jutrzeńkę wiosenną wynurzającą się z mgły, rośną, świeżą i wonną.

„Biondetto - rzekłem - weź grzebień, znajdziesz go w szufladzie tego kantorku.” Wzięła - i wkrótce przy pomocy wstążki ułożyła włosy w zgrabniutką i elegancką fryzurę, potem dokończyła toalety i siadła na krześle - wylekniiona, zmieszana, niespokojna; wygląd jej budził najwyższe współczucie.

„Jeżeli w ciągu dnia - pomyślałem - będę miał tysiąc takich coraz ponętniej szych widoków, to na pewno nie zdołam się oprzeć. Trzeba ten węzeł rozplątać, jeżeli się tylko da.”

Zwracam się do niej:

- Już dzień, Biondetto. Wymaganiom przyzwoitości zadość się stało. Możesz wyjść z pokoju, nie obawiając się drwin.

- O to nie lękam się - odpowiada. - Mam inne ważniejsze powody, abyśmy się, dla wspólnego naszego dobra, nie rozstawali.

- Może zechcesz mi to wytłumaczyć?

- Zaraz, Alwarze. Młodość twoja i niedoświadczenie zamykają ci oczy na grożące nam, z własnej winy, niebezpieczeństwa. Kiedy ujrzałam cię w pieczarze, bohaterska postawa twoja wobec potwornej zjawy skłoniła mię ku tobie. Jeżeli (tak rzekłam do siebie samej) dla zdobicia szczęścia mam połączyć się ze zwykłym śmiertelnikiem, muszę się ucieleśnić. Oto chwila odpowiednia, znalazłam bowiem godnego siebie bohatera. Niechaj wściekają się nędzni rywale, których dla niego poświęcam. Ściągnę wprawdzie urazę ich i zemstę na sobie, lecz cóż mnie to obchodzi? Z Alwarem połączona, przez Alwara kochana, dam sobie z nimi radę: pokonam ich i całą naturę. Co było dalej, widziałeś. Oto skutki. Zawiść, zazdrość, złość, wściekłość gotują mi najokrutniejsze tortury, jakim podlegać może istota mego rodzaju, istota, która z własnej woli poniżyła się, porzucając stan poprzedni. Ty jeden możesz mię przed tym uchronić. Ledwo dzień błysnął, a donosiciele już są w drodze...

już śpieszą z oskarżeniem, że jesteś nekromantą, aby cię stawić przed trybunał, który znasz przecie. W przeciągu godziny...

- Przestań! - krzyknąłem zaciskając pięści przed oczami. - Dość tego, ty łotrzyku przebiegły! Mówisz o miłości, przedstawiasz ją w najponętniejszych barwach, a zatruwasz samą myśl o niej! Zabraniam ci mówić o tym! Zostaw mię, sam zdobędę się, o ile to możliwe, na spokój, aby coś postanowić. Jeżeli mam wpaść w ręce trybunału, to ani chwili nie będę się wahać w wyborze pomiędzy nim a tobą. Lecz jeśli pomożesz mi wydostać się z pułapki, pod jakimże warunkiem? Do czego mam się zobowiązać? Czy

będę mógł rozstać się z tobą, gdy tego zapragnę? Wymagam jasnej i ścisłej odpowiedzi.

- Alwarze! opuścić mnie możesz w każdej chwili, zależy to jedynie od twojej woli. Nie mogę zmuszać cię do przyjęcia oddania mego. Mnie samą by to zmartwiło. Jeżeli i nadal nie potrafisz ocenić mej żarliwości, staniesz się niewdzięcznikiem pozbawionym rozsądku.

- Nie wierzę tobie! Wiem jedno tylko, że muszę wyjechać. Obudzę zaraz ordynansa, aby wystarał mi się o pieniądze i sprowadził karetkę pocztową. Udam się do Wenecji, do Bentinellego, bankiera matki mojej.

- Czyż brak ci pieniędzy? Na szczęście, zaopatrzyłam się w nie. Są do twojego rozporządzenia.

- Zatrzymaj je. Jeżeli jesteś kobietą, to poniżyłbym się przyjmując je.

- Nie chodzi przecież o dar. Proponuję ci pożyczkę. Dasz mi przekaz na bankiera. Zostaw na biurku kartkę z zestawieniem

długów; zleć, aby Carlo spłacił wszystko. Wyślij też list do swego komendanta, wytłumacz mu, że ważne sprawy zmusiły cię do nagłego wyjazdu bez urlopu. Konie pocztowe sama sprowadzę. Ach, Alwarze, znów mię lęk ogarnia, gdy widzę, że będę musiała, wbrew woli, rozstać się z tobą. Powiedz tedy najpierw: „Duchu, któryś dla mnie i to wyłącznie dla mnie wstąpił w ciało, przyjmuję lennictwo twoje i zapewniam ci pomoc.”

Podpowiadając powyższe zaklęcia, rzuciła mi się do kolan, trzymała mnie za rękę, ściskając i oblewając ją łzami.

Ze wzburzenia nie wiedziałem, co począć. Pozwalam całować się w rękę i mamrocze słowa, do których tak wielką zdała się

przykładać wagę. Wstała, gdy tylko skończyłem. „Jestem twoja - krzyknęła z zachwytem. - Będę najszczęśliwszą istotą na

świecie.” W jednej chwili otula się w długi płaszcz, nasuwa na oczy szeroki kapelusz i wychodzi z pokoju.

Byłem jak ogłuszony. Znajduję gdzieś kartkę z zestawieniem długów. Zostawiam ordynansowi na końcu kartki polecenie, aby je spłacił, odliczam potrzebną sumę pieniędzy, piszę do komendanta i do najbliższych przyjaciół listy, które zapewne ich bardzo zadziwiły, i oto słychać już zajeżdżającą karetkę i trzaskanie z bicia.

Wchodzi Biondetta, z twarzą ciągle ukrytą jeszcze w płaszczu, i przynagła mnie. Carlo, obudzony hałasem, zjawia się w koszuli. „Na biurku - mówię mu - znajdziesz rozkazy.”

Wchodzę do karety i ruszam. Biondetta zajęła miejsce na przedzie. Kiedy wyjechaliśmy z miasta, zdjęła kapelusz przesłaniający jej lica. Włosy miała opięte siatką karmazynową; widać było tylko jej koniuszki obszyte perłami i koralami. Jediną ozdobą jej twarzy była jej uroda. Cerę miała jakby przezroczystą. Rzecz niepojęta, jak ze słodyczą i niewinną naiwnością mogła iść w parze przebiegłość błyskająca z każdego jej spojrzenia.

Te mimowolne spostrzeżenia uderzyły mnie; spostrzegłszy, że zagrażają one memu spokojowi, przymknąłem oczy, aby próbować się zdrzemnąć.

Próba udała się. Sen opanował zmysły moje i obdarzył mnie marzeniami nie tylko rozkosznymi, lecz najwłaściwymi do uwolnienia duszy mej od przeraźliwych i dziwacznych myśli, które tak bardzo ją zmęczyły. Był to, nawiasem mówiąc, sen bardzo długi i według zdania matki mej, która w następstwie zastanawiała się pewnego dnia nad istotą mych przygód, spoczynek nienaturalny.

Wreszcie kiedy się obudziłem, znajdowaliśmy się już nad brzegiem kanału, gdzie wsiada się na okręt, płynący stąd do Wenecji.

Nadeszła noc. Czuję, że mnie ktoś za rękaw ciągnie - to tragarz, który chce zaopiekować się moimi pakunkami. Lecz ja nawet szlafmocy z sobą nie miałem. Biondetta, wychylając się spoza długiej kotary, zawiadamia mnie, że statek gotów do odjazdu. Wsiadam machinalnie z karety, wchodzę do feluki i znów zapadam w sen letargiczny.

Cóż powiem poza tym? Nazajutrz znalazłem się na placu Św. Marka w najpiękniejszym pokoju najlepszego zajazdu Wenecji;

znałem go już dawno i poznałem natychmiast. Przy łóżku swym spostrzegłem bieliznę i wytworny strój domowy. Możliwe, że była to uprzejmość oberżysty, do którego zajechałem zupełnie obdarty.

Wstaję i rozglądam się, czy jestem sam w pokoju. Szukałem Biondetty.

Zawstydzony tym odruchem, składał łaskawej fortunie dzięki, iż nie jestem z tym duchem nierozłączny. Uwolniłem się od niego! Jeżeli jedynym skutkiem mej nieostrożności będzie utracenie szarży mojej w gwardii, mogę uważać się za szczęśliwego. Odwagi, Alwarze! są jeszcze inne dwory, inni królowie, nie tylko neapolitański. Niech ci to posłuży za naukę, niech cię poprawi, jeżeli

jesteś niepoprawny. Na przyszłość będziesz wiedział, jak postępować. Jeżeli zostaniesz usunięty ze służby, czuła matka, Estremadura i niezgorsza posiadłość ojcowska wyciągną do ciebie ramiona.

„Lecz czego chce od ciebie ten kobold, który cię od dwudziestu czterech godzin prześladowuje? Przybrał postać ponętą i dał mi pieniądze. Zwrócę mu je.” Gdy tak ze sobą samym rozmawiam, zjawia się mój uroczy wierzyciel. Sprowadził dwoje służby i dwóch gondolierów.

- Póki nie przyjdzie Carlo, musisz - powiada - mieć służbę. Zapewniono mnie w oberży, że ludzie ci odznaczają się sprytem i uczciwością. Nieustraszonych będziesz miał obrońców.

- Z wyboru twego, Biondetto, jestem zadowolony, czy mieszkasz tutaj?

- W apartamentach waszej ekscelencji - odpowiada paż spuszcza- jąc oczy - zajmuję pokój najodleglejszy, aby jak najmniej osobą swoją sprawić kłopotu. Dostrzegłem wiele taktu i delikatności w tej trosce o rozdzielenie naszych pomieszczeń. Potrafiłem zachować wdzięczność za to.

„Weźmy wypadek najgorszy - pomyślałem sobie. - Czy mógłbym ją na przykład wygnąć z otaczającego mnie powietrza, gdyby zapragnęła przebywać tam, i niewidzialna, napastować mnie? Ale jeżeli znam miejsce, w którym przebywa, zawsze potrafię obliczyć dzielącą nas przestrzeń.” Zadowolony z rozmyślań, z łatwością przystałem na wszystko.

Chciałem odwiedzić pełnomocnika matki mojej. Biondetta pomogła mi przy ubieraniu, po czym wyszedłem. Kupiec, który znajdował się w swym banku, przyjął mnie nadspodziewanie uprzejmie. Już z daleka witał mnie przyjaznym spojrzeniem i wyszedł mi naprzeciw.

- Don Alwarze - zawołał - nie wiedziałem, że jesteś w Wenecji. Przybywasz w samą porę. Zaoszczędzisz mi trudu, gdyż miałem ci właśnie wysłać dwa listy i pieniądze.

- Czy pensję kwartalną?

- Tak jest. Ale i coś jeszcze. Oto ponadto dwieście cekinów, które dziś nadeszły. Przysłała je Dona Mencja przez pewnego starszego szlachcica, któremu wręczyłem kwit. Doña Mencja sądziła, że jesteś chory, i przez dłuższy czas pozostając bez wiadomości, poleciła więc pewnemu znajomemu Hiszpanowi oddać mi przeznaczone dla ciebie pieniądze.

- Czy nie wspomniał, jak się nazywa?

- Nazwisko zapisałem na kwicie. Don Miguel Pimientos, ponoć były koniuszy waszego zamku. O adres nie pytałem, nie

wiedziałem bowiem, że przybędziesz tutaj.

Wziąłem pieniądze, przeczytałem list. Matka uskarżała się na brak zdrowia i na to, że ją zaniedbuję. O przysyłanych cekinach nie wspomniała słowem. Byłem jej przeto jeszcze bardziej wdzięczny.

Wróciłem do oberży w znakomitym nastroju; przyczyniła się do tego kiesa, w samą porę wypchana pieniędzmi. Z trudem

odszukałem Biondetę w pokoiku, do którego się schroniła. Wchodziło się tam przez wąskie przejście, znacznie oddalone od moich drzwi. Zastałem ją koło okna, schyloną, zajęta zbieraniem i układaniem szczątków klawikordu. „Mam już pieniądze - powiadam - zwracam ci dług.” Zacerwieniła się, co zresztą działo się zawsze, gdy chciała coś powiedzieć. Zwróciła mi wystawione zobowiązanie, przyjęła

pieniądze i ograniczyła się do oświadczenia, że jestem nazbyt skrupulatny i że byłoby jej bardzo przyjemnie, gdyby mogła przez czas dłuższy widzieć we mnie swego dłużnika.

- Ale jeszcze jestem ci winien - odparłem - przecież to ty zapłaciłaś karetkę pocztową. Rachunek leżał u niej na stole. Uregulowałem go. Po czym wyszedłem, pozornie z zimną krwią; spytała się o moje rozkazy, a gdy nie miałem żadnych do udzielenia, powróciła spokojnie do swojej roboty; obróciła się do mnie plecami, przypatrywałem się jej przez chwilę; zdawała się być bardzo zajęta - pracy swej oddawała się z równą gorliwością, jak zręcznością.

Wróciłem do pokoju mego, aby pomarzyć. „Oto - mówiłem sobie - odpowiednik Calderona, który zapalił fajkę Soberano; chociaż wygląd jego jest bardzo szlachetny, nie pochodzi on z najlepszego domu. Lecz czemuż nie miałbym go zatrzymać, jeśli nie stanie się wymagający ani krępujący, jeśli nie wystąpi wreszcie z pretensjami? Przecież zapewnia mnie, że wystarczy z mej strony prosty akt woli, aby się odeń uwolnić. Dlaczegoż bym natychmiast chciał tego, co chceć mogę każdej chwili dnia?” Zawiadomienie, że podano do stołu, przerwało moje rozmyślanie.

Siadam do obiadu. Za krzesłem moim czuwa Biondetta w galowej liberii, uprzedzając moje życzenia. Nie miałem potrzeby odwracać się, aby ją ujrzeć: trzy rozwieszone w salonie zwierciadła powtarzały wszystkie jej poruszenia. Po zakończonym obiedzie sprząta ze stołu. Po czym opuszcza pokój.

Z dołu pojawia się oberżysta; znajomość moja z nim datowała się nie od wczoraj. Był to właśnie czas karnawału; przybycie moje przeto nie mogło go zaskoczyć. Powinnował mi zwiększenia mojej służby, co zdawało się wskazywać na lepszy stan mej fortuny, i nie mógł dość się nachwalić mego pazia, najpiękniejszego, najbardziej oddanego, najmędrszego i najrozkoszniejszego młodzieńca, jakiego widział kiedykolwiek. Pytał, czy mam zamiar wziąć udział w rozrywkach karnawałowych. Zamierzałem właśnie zabawić się, przebrałem się więc i wsiałem do gondoli.

Objechałem plac Św. Marka, byłem na jakimś widowisku i w ridot-to. Wygrałem czterdzieści cekinów; szukając rozrywki

wszędzie, gdzie sądziłem, że ją znajdę, dość późno wróciłem do domu.

Paż z pochodnią w ręku wita mnie przy wejściu, oddaje pod opiekę kamerdynerowi i znika zapytawszy uprzednio, o której godzinie każe się obudzić. „O zwykłej godzinie - odpowiadam, nie wiedząc nawet, co mówię, nie zastanawiając się, że nikt nie zna przecież mojego trybu życia.”

Nazajutrz obudziłem się późno i natychmiast wstałem. Przypadkiem rzuciłem spojrzenie na listy matki, które pozostały na stole.

„Czcigodna niewiasto! - krzyknąłem. - Co ja tu robię? Czemu nie uciekam się do twoich mądrych rad? Ale uczynię to, uczynię na pewno, bo cóż mi innego pozostało?”

Mówiłem głośno, zauważono więc, że wstałem. I znów ujrzałem ową rafę, o którą rozbijał się mój rozsądek. Wyglądał, jak gdyby nigdy nic: skromny, uległy, lecz przez to wydawał mi się

bardziej jeszcze niebezpieczny. Zawiadomił mnie o przybyciu krawca z tkaninami. Po ubiciu targu wyprowadził krawca i nie pokazał się aż do pory obiadowej.

Jadłem niewiele, w pośpiechu. Chciałem znów jak najprędzej rzucić się w wir zabawy. Poszedłem na maskaradę, dowcipkowałem wraz z tłumem, a dzień zakończyłem pójściem do opery i do domu gry. Hazard był naonczas najsilniejszą namiętnością moją. Wygrałem tym razem znacznie więcej niż poprzednio.

W takim to stanie serca i ducha upłynęło mi dziesięć dni na podobnych rozrywkach. Odnowiłem stare znajomości, zawarłem nowe; obracałem się w najwytworniejszym towarzystwie, bywałem w kasynach szlachty miejscowej.

Wszystko szłoby jak najlepiej, gdyby nie to, że szczęście w grze mnie opuściło. W ciągu jednego wieczora przegrałem w ridotto tysiąc trzysta cekinów, które mi się udało zdobyć. Chyba nikt nie zaznał większego pecha w grze; o trzeciej nad ranem, zgrany do nitki, wyszedłem, pozostając dłużny trzysta cekinów moim znajomym. Miałem wrażenie, że i Biondetta jest do głębi poruszona, choć nie odezwała się ani słowem.

Nazajutrz wstałem późno. Wielkimi krokami, stukając w podłogę, chodziłem po pokoju.

Podają mi śniadanie; nie jem. Po

uprzątnięciu ze stołu Biondetta, wbrew zwyczajowi, pozostaje ze mną. Przygląda mi się przez chwilę, z oczu jej płyną łzy:

- Przegrałeś, Alwarze... nie masz pewno na zapłacenie długu...

- Gdyby nawet tak było, gdzie znajdę ratunek?

- Obrażasz mnie. Jestem zawsze za cenę jednakową na twoje usługi. Lecz niewiele by one znaczyły, gdyby szło tylko o jakieś zobowiązania pieniężne, które w danej chwili, jak ci się zdaje, wypełnić musisz. Pozwolisz, że usiądę. Jestem tak zmęczona, że nie mogę ustać. Poza tym muszę ci powiedzieć kilka ważnych rzeczy. Czy chcesz się zrujnować? Czemu grasz tak namiętnie, jeśli grać nie umiesz?

- A czy gry hazardowej można się nauczyć?

- Naturalnie! Zupełnie niezależnie od inteligencji może się każdy nauczyć gry tej, niesłusznie zwanej hazardową. Hazard znaczy przypadek, a w świecie nie ma przypadku. Wszystko bowiem zawsze było i będzie skutkiem pewnych kombinacji, których nas uczy nauka o liczbach. Jej zasady tak są abstrakcyjne i głębokie, że rozumieć je można li tylko pod kierunkiem nauczyciela. Tego ostatniego trzeba umieć sobie zdobyć, umieć związać się z nim. Wiedzę tę wzniosłą przedstawić ci tylko mogę obrazowo: Ogniwa liczb sprawują bieg rytmiczny wszechświata, rządzą tym, co nazywamy zdarzeniem przypadkowym.

Niewidzialne

wahadło rzuca każdy przypadek na określone miejsce, poczynając od zdarzeń najważniejszych, odbywających się w odległych sferach, aż do małych, nędznych stawek, przez które straciłeś dziś wszystkie pieniądze.

Ta tyrada naukowa w ustach dziecka, to dość niespodziewane narzucanie nauczyciela, przyprawiły mnie o lekki dreszcz, o zimny pot, który uczułem już w jaskini Portici. Pod ostrym spojrzeniem moim Biondetta opuściła oczy.

- Nie chcę nauczyciela - mówię. - Obawiałbym się nauczyć zbyt wiele. Lecz spróbuj udowodnić mi, że szlachcic, bez ujmy dla swej czci, może posiłkować się czymś więcej niżli samą umiejętnością gry.

Zaczęła mi dowodzić w ten mniej więcej sposób:

- Istnienie banku oparte jest na niezmiernych zyskach, powracających przy każdej grze.

Gdyby niczym nie ryzykowałam, rzeczpospolita dopuszczałaby się jawnego oszustwa na grających. Przewidziane są jednak rachuby, których my, na przykład, dokonać możemy.

Mimo to bank posiada piękne szanse, licząc, że tylko jedna osoba na dziesięć grających jest wtajemniczona.

Dowodząc tak w dalszym ciągu, wskazała mi jedną z kombinacji, bardzo na pozór prostą. Zasady jej nie rozumiałem, lecz powodzenie, jakiegom doznał tego wieczoru, przekonało mnie o nieomyślności sposobu.

Krótko mówiąc, odegrałem się całkowicie, spłaciłem zaciągnięte podczas gry długi, a Biondetcie zwróciłem sumę, którą mi na wypróbowanie szczęścia pożyczyla.

Znów więc byłem zaopatrzony w środki, lecz mimo to zakłopotanie moje wzrosło. Na nowo obudziła się podejrzliwość moja w stosunku do zamiarów owej niebezpiecznej istoty i okazywanych mi przysług. Nie mogłem przewidzieć, czy potrafię oddalić ją. W każdym razie brakło mi woli, aby tego pragnąć. Odwracałem oczy, aby jej nie widzieć tam, gdzie była istotnie, a widziałem ją wszędzie, gdzie jej wcale nie było.

Gra straciła dla mnie urok. Nie ciągnął mnie nawet faraon, w którego przedtem grywałem pasjami; spowodował to brak wszelkiego ryzyka. Karnawałowe błazeństwa nudziły mnie; widowiska pozostawiały niesmak. Co się zaś tyczy nawiązania stosunków z jakąś damą wyższej socjety, to gdybym nawet znalazł na to miejsce w sercu, odstraszyłaby mnie nuda, ceremoniał i przymus owej roli urzędowego amanta. Pozostawało mi więc jeno kasyno szlacheckie, w którym więcej grać nie chciałem, i towarzystwo kurtyzan.

Pośród kobiet tej kategorii było kilka postaci niezwykłych: zalety ich polegały jednak nie na wdzięku osobistym, lecz na elegancji, przepychu i wesołym obejściu. W domach ich znajdowałem prawdziwą swobodę, zawsze mnie pociągającą i hałaśliwą wesołość, która, jeśli nawet nie znajdował w niej upodobania, mogła mnie przynajmniej ogłuszyć; a, co najważniejsze: nikt się tam nie liczył z rozsądkiem, mogłem więc i ja uwolnić się, choć na chwil kilka, z jego karbów. Wszystkie te damy traktowałem z jednakową galanterią, aczkolwiek żadnych względem którejkolwiek z nich nie żywiłem zamiarów. Najgłośniejsza jednak spośród nich zagieła na mnie parol i wkrótce działać zaczęła.

Zwała się Olimpia. Miała lat dwadzieścia sześć, była piękna, mądra i utalentowana. Dała mi niebawem do zrozumienia, że żywi do mnie sympatię. I chociaż uczucie to nie polegało z mej strony na wzajemności, uczyniłem zadość jej zmysłom, aby niejako własne postradać.

Zaczęło się to wszystko niespodziewanie i sądziłem, że się tak samo skończy, gdyż stosunek ten nie posiadał dla mnie zbyt wiele uroku. Przypuszczałem, że Olimpia, znudzona mą obojętnością, znajdzie sobie rychło kochanka, który odda jej więcej sprawiedliwości, tym bardziej, że nie łączyło nas nic prócz najzupełniej bezinteresownego stosunku. Lecz planeta nasza chciała snadź inaczej. Tak się widocznie stać musiało, że dla ukarania tej dumnej, porywczej kobiety i dla wtrącenia mnie w odmet nowych trosk Olimpia zapalała nieposkromioną miłością do mnie.

Przestałem być panem samego siebie, nie mogłem już wieczorem wracać do oberży. Przez cały dzień prześladowany byłem przez liściki, przez posłańców i szpiegów.

Skarżyła się, że jestem chłodny i obojętny. Nie mając jeszcze przedmiotu zazdrości, skierowywała ją na wszystkie kobiety, które potrafiły wzrok mój przyciągnąć, żądała wprost, abym był wobec nich niegrzeczny, lecz stałość charakteru mego sprzeciwiała się temu.

Męczyła mnie bezustannie do tego stopnia, że czułem już wstręt do samego siebie, lecz musiałem być przy niej. Chciałem po prostu pokochać Olimpię. Przede wszystkim dlatego, aby coś kochać, a po wtóre - aby się pozbyć owej niebezpiecznej skłonności, którą w sobie czułem. Tymczasem przygotowywała się grubsza awantura.

Z polecenia kurtyzany byłem w oberży swej pod ukrytą obserwacją.

- Od kiedy to - rzekła któregoś dnia - masz u boku swego tego uroczonego pazia, któremu tyle uwagi poświęcasz i któremu okazujesz tyle względów, że zeń oczu nie spuszczasz, kiedy wchodzi do pokoju? Dlaczego trzymasz go w surowym ukryciu? Przecież nigdy nie widać go w Wenecji.

Paź mój - odrzekłem - jest młodzieńcem szlachetnego pochodzenia. Zobowiązałem się dbać o jego wychowanie. Jest to...

Jest to kobieta - przerwała mi błyskając gniewnie oczyma. -Niewierny! Jeden ze szpiegów moich widział ją przez dziurkę od klucza, gdy się ubierała!

- Daję słowo honoru, że to nie kobieta...

- Nie dodawaj kłamstwa do zdrady! Widziano, jak kobieta ta płakała. Nie jest szczęśliwa. Potrafisz tylko dręczyć oddane ci serca. Oszukałeś ją, tak jak mnie oszukujesz, a teraz ją porzucasz. Odeślij młodą tę osobę do rodziców; a jeżeli rozrzutność twoja pozbawiła cię możliwości właściwego zaopatrzenia jej, ja się nią zajmę. Obowiązkiem twoim jest zaopiekować się jej losem; uczynię to, lecz żądam, aby jutro jej już nie było.

- Olimpio - odrzekłem ze spokojem, na jaki mię tylko stać było -przysięgam ci, powtarzam, jeszcze raz przysięgam, że to nie kobieta!... I gdyby niebiosy...

- Na co te kłamstwa i te „gdyby niebiosy”, ty potworze! Odeślij ją do domu, powtarzam, bo inaczej... zresztą, mam inne jeszcze środki w pogotowiu. Zdemaskuję cię, a wtedy ona nabierze rozsądku; bo ty, jak widzę, wcale nań nie jesteś wrażliwy.

Zgnębiony tym potokiem obelg i gróźb, lecz zachowując pozory spokoju, wróciłem, mimo późnej pory, do domu.

Służba, a przede wszystkim Biondetta zdawała się być zdziwiona tym niespodziewanym powrotem. Zaniepokoiła się nieco, czy aby nie jestem chory. Odrzekłem, że nie ma powodu do obaw. Od czasu nawiązania stosunków z Olimpią, nie mówiłem z Biondetta prawie nigdy; mimo to w zachowaniu jej wobec mnie nie zaszła żadna zmiana, lecz rysy twarzy świadczyły o

przygnębieniu i melancholii.

Nazajutrz, kiedy się tylko obudziłem, Biondetta wchodzi do pokoju i podaje mi otwarty list. I oto co w nim przeczytałem:

Do rzekomego Biondetta.

„Pani! nie wiem, kim jesteś ani na czym polegać mogą czynności twe u don Alwara; lecz jesteś zbyt młoda, aby nie zasługiwać na przebaczenie, a w nazbyt złe dostałaś się ręce, aby nie wzbudzać litości. Ten caballero obieca ci to, co obiecuje każdej, na co i mnie co dzień przysięgę składa, choć wie, że nas zdradzi i oszuka. Jesteś pono nie mniej mądra, jak piękna. Nie odrzucisz przeto dobrej rady. Jesteś jeszcze w tym wieku, pani, że możesz naprawić krzywdę, którą wyrządziłaś sobie; w czulej duszy znajdziesz środki ku temu. Wiedz, że nie ma ofiary, której by nie poniesiono dla zapewnienia ci spokoju. Wielkość jej odpowiadać musi stanowisku twemu oraz widokom, których dotychczas wyrzec się musiałaś i tym, które mogłaś mieć w przyszłości. Zechciej więc sama wszystko określić. Lecz gdybyś nadal miała trwać w postanowieniu, że znosić będziesz oszustwa i cierpienia, przysparzając je także innym, to bądź przygotowana na wszystko, na co tylko rozpacz i gniew rywalki zdobyć się może. Oczekuję twej odpowiedzi.”

Po przeczytaniu zwróciłem list Biondetcie.

- Odpowiedz tej damie, że jest obłąkana. Jak bardzo zaś, o tym wiesz lepiej ode mnie.

- Czy znasz ją, Don Alwarze? Czy nie obawiasz się czegoś złego z jej strony...

- Obawiam się, że jeszcze przez dłuższy czas będzie mnie zanudzać; dlatego porzucam ją. Aby zaś pozbyć się jej tym pewniej, dziś jeszcze odnajmę ów śliczny dom nad brzegiem Brenty, który mi zaofiarowano.

Ubrałem się natychmiast i poszedłem dobić targu. Po drodze rozmyślałem o groźbach Olimpui. „Nieszczęśliwa, opętana kobieta; chce zamordować...” Lecz kogo - wymówić nie mogłem, sam nie wiem czemu.

Po załatwieniu sprawy wróciłem do domu i zjadłem obiad; obawiając się, że z przyzwyczajenia znów udam się do kurtyzany, postanowiłem przez cały dzień nie wychodzić z domu.

Biorę książkę, lecz nie mogę czytać; odkładam ją. Podchodzę do okna, nie bawi mnie, raczej budzi obrzydzenie tłum ten i różnaitość rzeczy. Znów przemierzam pokój wielkimi krokami, szukając spokoju ducha w ciągłym ruchu ciała. Ten spacer bezcelowy prowadzi kroki moje do ciemnej komórki, w której służba złożyła różne mniej potrzebne przedmioty. Nie byłem tam nigdy. Dobrze mi w tym półmroku. Siadam na kufrze i odpoczywam przez kilka minut. Słyszę wreszcie szmery w pokoju przyległym. Wąski promyk światła pada mi w oczy, podchodzę do drzwi; sączy się przez dziurkę od klucza; przykładam oko.

Biondetta ze skrzyżowanymi ramionami siedzi przed klawikordem, pogrążona w głębokiej zadumie. Nagle odzywa się: „Biondetto! Biondetto! on mówił do mnie: «Biondetto!», pierwsze i jedyne czułe słowo, które z ust jego wyszło.” Milknie i znów jakby zapada w zadumę. Kładzie wreszcie dłonie na klawikordzie, który przedtem, jak widziałem, doprowadzała do porządku. Przed nią na pulpicie leży książka zamknięta. Zaczyna nucić półgłosem akompaniując sobie.

Zauważyłem od razu, że pieśń jej nie jest żadną określoną kompozycją. Gdy wyteżyłem słuch, usłyszałem imię swoje i Olimpi. Biondetta improwizowała prozę o domniemanej swej sytuacji i o tej, w jakiej znajdowała się rywalka, którą uważała za bardziej szczęśliwą od siebie, a potem o mej niewzruszoności, o podejrzeniach, które budzi nieufność, a przez którą oddalam się od

szczęścia. Ona, Biondetta, zaprowadziłaby mnie na drogę wielkości, fortuny i wiedzy, ja zaś mógłbym ją uszczęśliwić. „Niestety - westchnęła - jest to niemożliwe. Gdyby nawet wiedział, kim jestem w istocie, słabe wdzięki moje nie przykułyby go do mnie... Inna bowiem”...

Zdało się, że w uniesieniu namiętności dusiły ją łzy. Wstaje, bierze chusteczkę, wyciera oczy i znów podchodzi do instrumentu. Chce usiąść na nowo, lecz naprzód bierze książkę z pulpitu i kładzie ją na taborecie; widocznie było jej zbyt nisko i niewygodnie. Potem siada i znów zaczyna przygrywać.

Przekonałem się natychmiast, że owa druga pieśń innego była rodzaju niżli pierwsza.

Poznałem melodię modnej podówczas w Wenecji barkaroli. Powtarzała ją raz po raz, a potem, głosem bardziej pewnym i wyraźnym, zaśpiewała słowa następujące:

Ach, ścigana losy złemi, Sfer niebiańskich córa miła, Dla Alwara i dla ziemi Wszechświat wielki opuściła!

Blaskiem mocy już nie pałam, Wstydem jeno płonie lico! Cóż mam z tego? czym się stałam? Pogardzoną niewolnicą.

O rumaku, nawet ciebie Czasem jeźdźca dłoń pogłaska, Choć uderzy cię w potrzebie, Lecz wiesz, co jest pańska łaska. Da nagrodę ręka sroga, Zwróci honor ten, co bije. Ale uzda ni ostroga Nigdy w serce się nie wpije.

Inna dzisiaj jest z Alwarem! Luby! inna jest ci miła! Ach, odpowiedz, jakim czarem Chłodne serce zwyciężyła? Wierząc w szczerą jej namiętność, Dla niej masz miłosne drzenia, Dla mnie tylko obojętność, Dla mnie tylko podejrzenia.

Struta jadem nieufności,

O Alwarze, cierpię srodze! Boisz się mej obecności, Nienawidzisz, gdy odchodzę, Męka, mówisz, jest udana, Słowo moje - nieprawdziwe, Kłamstwem każda łza przelana, A milczenie jest zdradliwe.

Nieprawdziwa, wymyślona Stałaś się i ty, miłości! Niech go twoja moc przekona

I tak krzywdę moją pomści.

Niech zrozumie mnie, wysłucha, Niech go postać ma nie zraża, Wylecz go z słabości ducha, Która cierpień mi przysparza!

Tryumfuje ma rywalka, Ona rządzi jego zdaniem, Ach, czym skończy się ta walka? Śmiercią chyba lub wygnaniem. Wytrwaj, serce, w swej niewoli, Bo gdy pękną twe obroże, To, co trapi cię i boli, Zemstą złą wybuchnąć może.

Ten głos, melodia ta, treść, rytm wiersza - wszystko to wtrąciło mnie w stan niewypowiedzianego wzburzenia. „O widmo ułudne i groźne! - krzyknąłem odbiegając od drzwi, pod którymi już nazbyt długo pozostawałem. - Czy można lepiej udać prawdę i naturę? Jakże jestem nieszczęśliwy, żem dziś dopiero odkrył tę dziurkę od klucza! Bo gdybym przedtem o niej wiedział, jak często szukałbym tutaj upojenia! Jak bardzo sam bym się przyczynił do oszukiwania siebie! Dość tego! Jutro przenosimy się nad Brentę! Nie, jeszcze dziś wieczór!”

Wołam natychmiast służącego i każę znieść niezwłocznie do gondoli wszystko, co potrzeba, aby noc spędzić w nowym moim domu.

Trudno byłoby mi doczekać się nocy w oberży. Wyszedłem, kierując się bez celu przed siebie.

Zdawało mi się na przechadzce, że do kawiarni na rogu ulicy wchodzi Bernadillo, towarzysz Soberana w wyprawie naszej do Portici. „Znów widmo jakies - pomyślałem. - Czy one mnie prześladują?”

Wsiadłem do gondoli i objechałem Wenecję dokoła, od kanału do kanału. Wróciłem o jedenastej. Chciałem jechać nad Brentę, lecz zmęczeni gondolierzy odmówili i musiałem nająć innych. Służba, uprzedzona o mych zamiarach czekała już ze swym dobytkiem w gondoli. Biondetta szła za mną.

Ledwo wszedłem do łodzi, gdy usłyszałem krzyk. Odwracam się: jakaś zamaskowana postać wbiła sztylet w pierś Biondetty. „Zabrałaś mi go! Giń więc, giń, rywalko znenawidzona!” Zbrodnię popełniono tak szybko, że udaremnić nie mogłem jej nawet gondolier, który pozostał na brzegu. Chciał zatrzymać

mordercę, uderzając go pochodnią w twarz, lecz inny napastnik, także zamaskowany, odtrącił go, odgrażając się głośno. Zdawało mi się, że poznałem głos Bernadilla.

Jak szalony wyskakuję z gondoli. Mordercy znikli. W świetle pochodni widzę bladą, we krwi skapaną, umierającą Biondetę.

Nie potrafię opisać, co się ze mną działo. Widzę tylko tę kobietę ubóstwianą, ofiarę śmiesznej zazdrości, lekkomyślności mojej i niedbalstwa, kobietę, której sprawiłem dotychczas najokrutniejsze cierpienia.

Biegnę do niej. Wołam o pomoc i pomsty wzywam. Z obawy, aby jej kto nie uraził, sam obarczam siebie połową tego ciężaru.

Kiedy ją rozebrano, kiedy ujrzałem to piękne ciało z dwiema krwawymi ranami, z których każda zdała się przecinać źródło jej

życia, zacząłem pleść i popełniać rzeczy szalone.

Biondetta, widocznie nieprzytomna, nic zapewne nie wiedziała i nie słyszała. Lecz oberżysta, służba, cyrulik i dwaj przywołani lekarze, orzekli, że groziłoby rannej niebezpieczeństwo, gdybym pozostał przy niej. Wyprowadzono mnie z pokoju.

Ludzi moich pozostawiono razem ze mną. Ale gdy jeden z nich odezwał się niebacznie, iż według orzeczenia lekarza rany są śmiertelne, zacząłem krzyczeć wniebogłosy.

Wyczerpany wreszcie uniesieniem, zapadłem w odrętwienie, które przeszło w sen.

Śniło mi się, że widzę matkę; opowiedziałem jej o wszystkich swych przygodach. Pragnąc je unaocznić, zaprowadziłem ją do ruin Portici. „Nie chodźmy tam, synu mój - rzekła - grozi ci niebezpieczeństwo.” I nagle, kiedyśmy weszli do wąskiego wąwozu, w którym nie przeczuwałem żadnego niebezpieczeństwa, czyjaś ręka wtrąciła mnie w przepaść.

Poznałem: była to ręka Biondetty. Padam, lecz inna jakaś ręka wyciąga mnie, i oto jestem w ramionach matki. Budzę się, dysząc ciężko z przerażenia. „O droga matko! -zawołałem. -Nie opuszczasz mnie nawet we śnie. Biondetto! Czy chcesz mnie zgubić?”

Lecz to widzenie senne było chyba tylko skutkiem chorej imagina-cji. Ach, precz z myślami, które by mi kazały zapomnieć o wdzięczności i prostym obowiązku ludzkim!

Wołam służącego i każę mu zasięgnąć wiadomości.

Dwaj lekarze czuwają przy niej. Znaczny upływ krwi; obawiają się gorączki.

Nazajutrz, po zdjęciu opatrunku, okazało się, że tylko głębokość ran jest niepokojąca.

Występuje jednak gorączka, podnosi się tak, że pacjentkę znów trzeba osłabić puszczeniem krwi.

Domagałem się tak natarczywie odwiedzenia chorej, że niepodobna było oprzeć się mej prośbie. Biondetta bredziła w malignie i bez ustanku powtarzała moje imię. Przypatrywałem się jej, nigdy nie wydała mi się tak piękna.

„Więc tę istotę - pytałem samego siebie - uważałeś za barwne widmo jeno? za nagromadzenie błyszczących oparów powietrznych, zgęszczonych po to jedynie, aby ci zmysły zamroczyć?”

Przecież miała własne życie, takie jak ja, teraz zaś traci je, gdyż nigdy jej wysłuchać nie chciałem, bo świadomie wystawiłem ją na niebezpieczeństwo. Tygrysem jestem i potworem! Jeżeli umrzesz, o godne najwyższego uwielbienia stworzenie, którego dobroć tak wielką niewdzięcznością odplaciłem, to ja pójdę za tobą. Umrę, lecz wpierw na grobie twoim złożę ci okrutną Olimpię w ofierze! A jeżeli mi będziesz przywróconą, będę należał tylko do ciebie. Wynagrodzę twe dobrodziejstwa, ukoronuję cnoty i cierpliwość. Zwiążę się z tobą węzłami nierozzerwalnymi, a przykazaniem życia mego będzie: uczynić cię szczęśliwą, na oślep oddawać ci każde czucie i pragnienie.”

Nie będę tu opisywał mozolnych wysiłków sztuki i natury ku przywróceniu życia ciału, które zdawało się ginąć, wymęczone tyloma zabiegami.

Minęło dwadzieścia jeden dni niepewności, lęku i nadziei. Gorączka spadła wreszcie i chora zaczęła widocznie odzyskiwać przytomność.

Nazwałem ją drogą Biondetta. Uścisnęła mi dłoń. I od tej chwili zaczęła rozpoznawać wszystko dokoła. Stałem w głowach jej łoża.

Oczy jej zwróciły się ku mnie, moje zaś pełne były łez. Spojrzenie jej i uśmiech miały słodycz niewysłowioną. „Droga Biondetto! -powtórzyła. - Jestem drogą Biondettą Alwara.” Chciałem mówić dalej jeszcze, lecz po raz drugi upomniano mnie, abym się oddalił.

Postanowiłem zostać w pokoju, lecz w takim miejscu, dokąd wzrok chorej nie mógł sięgnąć. Wreszcie pozwolono mi zbliżyć się do niej.

- Biondetto - rzekłem - zarządziłem pogoń za zbrodniarzem!

- Ach, daj mi spokój - szepnęła - uszczęśliwili mnie. Bo jeżeli umrę, to dla ciebie, a jeżeli żyć będę, to po to, aby cię kochać.

Mam powody, dla których nie będę szczegółowo opisywał czułych scen, jakie odbywały się między nami aż do czasu, kiedy lekarze upewnili mnie, że mogę przewieźć Biondettę nad brzeg Brenty, gdzie świeże powietrze przywrócić mogło chorej siły.

Urządziliśmy się w nowym mieszkaniu. Od tej chwili, kiedy przy robieniu opatrunków, okazało się dowodnie, iż Biondettą jest kobietą, zgodziłem jej dwie posługaczki. Na każdym kroku dbałem o jej wygodę i zajęty byłem wyłącznie dostarczaniem jej pomocy, rozrywek i przyjemności.

Siły jej powracały w oczach i z dniem każdym uroda jej nabierała nowej świetności.

Wreszcie, ufając iż dłuższa rozmowa nie

może już rekonwalescentce zaszkodzić, rzekłem:

- O Biondetto! serce moje pełne jest miłości: przekonałem się, że nie jesteś tworem fantazji; uwierzyłem, że kochasz mnie, chociaż traktowałem cię dotychczas nieludzko. Lecz o tym, czy wątpliwości moje były uzasadnione, wiesz sama najlepiej.

Odsłoń mi tajemnicę owej niezwykłej zjawy, która zaniepokoiła wzrok mój pod sklepieniem w Portki. Z początku ukazał się potwór ohydny, potem piesek. Skąd się to wzięło, gdzie się podziało? Jak i dlaczego ty zjawiłaś się na ich miejscu, aby mi towarzyszyć? Kto byli oni? Kim ty jesteś? Przywróć raz na zawsze spokój sercu, które do ciebie należy jedynie i tobie życie poświęcić pragnie.

- Alwarze - odpowiedziała Biondetta - nekromantów zadziwiła odwaga twoja, chcieli cię upokorzyć, aby naigrawać się z ciebie, zgrozą i przerażeniem chcieli cię uczynić nędznym niewolnikiem swych zachcianek. Wystawili cię na próbę strachu, abyś się dał skusić i wywołał najpotężniejszego, najstraszliwszego z duchów, które im podlegają. Za ich to pomocą ukazał ci zjawę, która by cię o śmierć przerażenia przyprawiła, gdyby moc duszy twojej nie zwróciła ostrza chytrego podejścia przeciwko nim samym.

Widząc bohaterską postawę twoją, zachwycone śmiałością nieustraszoną, postanowiły sylfy, salamandry, gnomy i ondyny dać ci przewagę nad wrogiem.

Jestem z rodu sylfid i to jedną z wybitniejszych. Zjawiłam się w postaci małej suczki, odebrałam twoje rozkazy i oto wszyscy prześcigać zaczęliśmy się w spełnianiu ich. Im więcej okazywałeś wyniosłości, stanowczości, śmiałości ducha i roztropności w

rządzeniu nami, tym więcej rosła gorliwość nasza i podziw dla ciebie. Rozkazałeś mi zostać paziem, potem śpiewaczką. Uległam z radością, a posłuszeństwo to sprawiło mi tyle rozkoszy, że postanowiłam okazywać ci je zawsze. Teraz, powiedziałam sobie, niechaj się rozstrzygnie los twój i szczęście. W regionach powietrznych, na wieczną niepewność skazana, bez wrażeń, bez

radości, niewolnica kabalistów, igraszka ich zaklęć i fantazji, ograniczona z natury rzeczy w prawach swych i wiedzy, czyż

miałam się wahać w wyborze środków dla uszlachetnienia swej istoty?

Czyż mogłam?

Wolno nam ucieleśnić się, aby połączyć się z wtajemniczonym. Otóż on. Stając się zwykłą kobietą, tracę przez tę przemianę dobrowolną prawa naturalne przysługujące sylfidom, tracę pomoc siostr moich, lecz zyskam za to szczęście w miłości: będę kochać i będę kochaną.

Zwycięzcy swemu służyć będę: nauczę go cenić własną wielkość, którą zapoznaje. Wraz z żywiołami,

które porzuciłam, odda on pod panowanie nasze duchy wszystkich innych sfer. Bowiem stworzony jest na to, aby stać się królem świata, ja zaś będę światą królową, umiłowaną przezeń.

Te myśli, pojawiające się w substancji pozbawionej organów ludzkich, postanowiły o mnie gwałtowniej, niż mógłbyś to sobie wyobrazić.

Zachowując twarz sylfidy, przybrałam ciało kobiety i utracę je dopiero wraz z życiem.

Gdy przyoblekłam ciało, Alwarze, spostrzegłam, że mam serce. Podziwiałam ciebie, pokochałam cię. Lecz cóż się ze mną stało, gdy znalazłam w tobie tylko wstręt, tylko nienawiść! Nic już zmienić nie mogłam, nawet na żal było za późno.

Narażona na ciosy, którym wy, ludzie, jesteście poddani, oddana duchom i czarnoksiężnikom na pastwę gniewu i nieprzejednanej nienawiści, pozbawiona twojej pomocy, stałam się najniešťszeliwszym pod słońcem stworzeniem. Ach, i pozostałabym nim nadal bez twojej miłości, Alwarze!

Tysiąc przebłyków wdzięku w postaci, gestach i głosie wzmogło czar tej zajmującej opowieści, której zresztą nie rozumiałem zupełnie. Lecz czyż można było zrozumieć cokolwiek?

„Wszystko to jest jak sen - pomyślałem sobie. - Ale czy życie ludzkie jest czym innym? Śnię tylko dziwniej niż inni, oto wszystko. Widziałem na własne oczy, że oczekując pomocy tylko od kunsztu lekarskiego, podchodziła niemal aż pod same wrota śmierci, znosząc męki i cierpienia. Człowiek powstał z połączenia grudki ziemi i wody. Dlaczego więc kobieta nie mogła powstać z rosy, oparów ziemskich i promieni światła, ze zgęszczonych cząstek tęczy? Gdzie jest możliwość? Gdzie niemożliwość?"

Skutek tych rozmyślań był taki, że jeszcze bardziej oddałem się moim skłonnościom, sądząc, że idę za głosem rozumu. Zasypywałem Biondettę uprzejmostkami i niewinnymi pieszczotami. Poddawała się im z czarującą niewinnością, z tym wrodzonym zawstydzeniem, w którym nie ma nic zamysłu ani lęku.

Słodko przeminał miesiąc i upoił mnie.

Całkowicie już powróciwszy do zdrowia, Biondetta mogła towarzyszyć mi wszędzie na przechadzki. Sprawilem jej amazonkę. W tym stroju i w szerokim kapeluszu, ocienionym piórami, przyciągała wszystkie spojrzenia. Nie mogliśmy się nigdzie zjawić, aby szczęście moje nie stawało się przedmiotem zazdrości wszystkich tych szczęśliwych przechodniów, którzy w piękne dni zaludniają urocze brzegi Brenty. Miałem wrażenie, że nawet kobiety pozbyły się w stosunku do Biondetty owej zazdrości, o którą się je oskarża: czy to czując niewątpliwą przewagę jej urody, a może skutkiem rozbajającego zachowania się Biondetty, które

mówiło jakoby, że nic o wdzięku swym nie wie.

Znany przez wszystkich jako szczęśliwy kochanek tak uroczej istoty, stałem się wkrótce nie mniej dumny niż zakochany: dumę tę podniecała jeszcze myśl o cudownym pochodzeniu Biondetty.

Nie mogłem wątpić, że posiada ona najtajniejszą wiedzę, i nie bez racji przypuszczałem, że chce jej mi udzielić. Rozmawiała jednak ze mną tylko o rzeczach zwykłych i zdawała się tracić z oczu wszystko inne.

- Biondetto - rzekłem do niej któregoś wieczoru podczas przechadzki na tarasie ogrodu - kiedy ulegając aż nazbyt łaskawej dla mnie skłonności, postanowiłaś los twój z moim związać, obiecałaś mi udzielić wiadomości dostępnych wybranym jeno, a chciałaś to uczynić w tym celu, aby mnie godnym owego związku uczynić. Jak sądzisz: czy jestem jeszcze godny tego? Czy miłość tak czuła i niezwykła nie pragnie uszlachetnić przedmiotu uczuć swoich?

- O Alwarze - odrzekła - od sześciu miesięcy jestem kobietą, lecz uczucie moje nie trwa, zda się, dłużej nad dzień jeden. Wybacz, jeżeli najśłodsze z uczuć upoiło serce, które nic dotychczas nie czuło. Chciałabym cię nauczyć takiej jak moja miłości; i przez to jedno uczucie wywyższyłbyś się ponad sobie podobnych; lecz pycha ludzka innych pożąda rozkoszy. Przyrodzona niecierpliwość nie pozwala jej zakosztować szczęścia, jeżeli większego w dali nie widzi. Owszem, Alwarze, pouczę cię. Zapomniałam z przyjemnością o własnej korzyści. Dla niej to zresztą uczynię, gdyż własną wielkość w twojej odnaleźć muszę. Lecz zapewnienie, że do mnie należeć będziesz, nie wystarczy. Musisz oddać mi się bez zastrzeżeń i na zawsze.

Siedzieliśmy na ławce darniowej w altanie, pod liśćmi kozieńca, w głębi ogrodu. Padłem do jej nóg.

- Droga Biondetto - zawołałem - przysięgam ci wierność, która wszelką próbę wytrzyma!

- Nie - odrzekła - nie znasz ani mnie, ani siebie. Żądam zupełnego oddania: to tylko zaspokoi mnie.

W uniesieniu całowałem jej dłonie i ponawiałem swe przysięgi. Ona przedstawiła mi swe obawy. W ogniu sprzeczki głowy nasze chyła się ku sobie, wargi spotykają się z wargami... W tej samej chwili czuję, jak coś chwyta mnie za połą kaftana i zaczyna targać z całej siły.

Był to młody duński piesek, którego niedawno otrzymałem w prezencie. Codziennie kazałem mu bawić się moją chusteczką do nosa. A że dnia poprzedniego uciekł z domu, przywiązałem go dla zapobieżenia powtórnej ucieczce. Zerwał się teraz z uwięzi, odszukał mnie węchem i chwycił za płaszcz, aby okazać mi swą radość i zachęcić do igraszek. Próbowałem odpędzić go ręką, głosem, ale na próżno: poskramiany pies, szczekając natarczywie, wracał co chwila. Wreszcie wzięłem go za kark i odprowadziłem do domu.

Kiedy wróciłem do altany, aby znów się spotkać z Biondettą, zjawił się tam służący, idący za mną niemal krok w krok, i oznajmił, że obiad gotów, i udaliśmy się, aby zasiąść przy stole. Biondettą była jak gdyby zawstydzona. Szczęśliwym trafem byliśmy we troje: towarzyszył nam pewien młody szlachcic, który przybył, aby spędzić z nami wieczór.

Nazajutrz rano wszedłem do pokoju Biondetty, aby podzielić się z nią poważnymi myślami, które przez noc zaprzętały mi głowę. Leżała jeszcze w łóżku, siadłem przy niej.

- Niewiele brakowało - rzekłem - abyśmy wczoraj popełnili głupstwo, którego bym żałował do końca życia. Matka moja żąda bezwzględnie, abym się ożenił. Mogę tylko należeć do ciebie, lecz bez jej zezwolenia nie uczynię nic stanowczego. Uważam cię za żonę, droga Biondetto, muszę więc okazywać ci należny szacunek.

- Czyż nie należy się on w równej mierze i tobie, Alwarze? Ale czy uczucie to nie zatruje miłości?

- Mylisz się: będzie dla niej podniętą! Ostrą przyprawą!

- Ładna przyprawa, która przyprowadza cię do mnie z miną tak lodowatą, że sama staje się kamieniem! Ach, Alwarze, Alwarze! Nie mam na szczęście ani względów, ani zastrzeżeń, ani ojca, ani matki i pragnę kochać z całego serca bez owej przyprawy. To, że musisz liczyć się ze zdaniem matki, jest rzeczą naturalną. Lecz wystarczy, jeżeli wola jej przypieczętuje związek naszych serc; dlaczego jednak ma go poprzedzać? Te wasze przesady powstały z ciemnoty i dlatego, czy rozsądkiem, czy nierozsądkiem, kierowani, postępujecie niekonsekwentnie i dziwacznie. Mając do spełnienia obowiązki istotne, obarczacie się innymi: niewykonalnymi lub bezcelowymi wskutek tego, że dajecie się sprowadzić z drogi, która prowadziła do zdobycia tego, za czym, zdało się, tęsknicie najbardziej. Związek nasz staje się zależny od woli osoby postronnej. Kto wie, czy Dona Mencja uzna ród mój za dość szlachetny, abym była godną rodu Maravillas? Miałaż-bym narazić się na to, że mnie odtrąci? albo jej zawdzięczać, że moim będziesz, nie tobie samemu? Któż to w ten sposób przemawia do mnie? Człowiek, który ma posiąść wzniosłą wiedzę tajemną, czy dziecko gór Estremadury? Czy mam wyrzec się własnej wrażliwości, gdy widzę, że cudzej okazuje się więcej szacunku? Alwarze, Alwarze! głośna jest miłość Hiszpanów, lecz buta i pycha zawsze w nich przeważać będzie!

Byłem już świadkiem wielu scen zwykłych, lecz na to nie byłem przygotowany. Chciałem usprawiedliwić istotę mego szacunku dla matki. Płynie on bardziej z obowiązku niż z wdzięczności i przywiązania. Ale nie słuchała.

- Nie stałam się kobietą, aby być niczym, Alwarze! Otrzymałeś mnie ode mnie samej; chcę ciebie od ciebie samego dostać. Jeśli potem nie zgodzi się Dona Mencja, będzie szalona. Ani słowa więcej! Od czsu, kiedy siebie szanujesz, mnie szanujesz, cały świat szanujesz, ach! od tej chwili jestem nieszczęśliwsza niż wtedy, gdyś mnie nienawidził! Poczęła szlochać.

Jestem na szczęście dumny i duma ustrzegła mnie przed odruchem słabości: inaczej rzuciłbym się do stóp Biondetty, aby uśmierzyć ten gniew nierozsądny i wstrzymać potoki łez, których sam widok doprowadzał mnie do rozpacz. Udałem się do swego pokoju. Kto by mnie tam zakuł w kajdany, wyświadczyłby mi przysługę. Obawiając się wyniku walki, którą staczałem, pobiegłem do mej gondoli. Spotykam jedną z posługaczek Biondetty. „Jadę do Wenecji. Muszę tam być koniecznie w sprawie procesu przeciw Olimpiii” - mówię i natychmiast ruszam w drogę,

targany gwałtownym niepokojem, niezadowolony z Biondetty, a bardziej jeszcze z siebie. Przede wszystkim zaś czując, iż nie mam innego wyjścia prócz poniżenia lub rozpacz. Przyjeżdżam do miasta i wysiadam w pierwszej przystani. Błądzą po ulicach jak opętany, nie spostrzegając, że nadciąga groźna burza i że trzeba postarać się o schronienie. Było to w połowie lipca. Deszcz, z gradem zmieszany, lunął jak z cebra. Widzę przed sobą rozwarłe drzwi. To wrota kościoła przy wielkim klasztorze franciszkanów.

Wchodzę.

Pierwszą myślą moją było, że trzeba było aż takiego wypadku, abym po raz pierwszy od czasu pobytu mego w posiadłościach w Wenecji wszedł do kościoła. Drugą - że należy sobie zdać rachunek z tak daleko posuniętego zaniedbania obowiązku.

Chcąc pozbyć się tych myśli, zacząłem oglądać znajdujące się w kościele obrazy i posagi: była to w swoim rodzaju podróż odkrywczą naokoło nawy i chórów. Przybywam wreszcie do głębokiej kaplicy oświetlonej przez lampę, gdyż światło wewnątrz nie przenikało do niej. Coś lśniącego w jej głębi uderza mój wzrok; jest to pomnik.

Dwaj aniołowie składają postać kobiecą do czarnego grobu z marmuru. Dwaj inni ją oplakują. Wszystkie figury wykute były w białym marmurze i połysk ich, uwydatniony przez kontrast, odbijał słabe światło lampy, tak, iż zdawało się, że błyszczą same i rozjaśniają wnętrze kaplicy.

Podchodzę i przyglądam się figurom. Są pięknych proporcji, pełne wyrazu i wykonane mistrzowsko. Przypatruję się bacznie

główniej postaci. Cóż to? Czy widzę portret matki? Chwyta mnie słodki, głęboki ból, pełen jestem świętego uwielbienia.

„O matko moja! Czy chcesz mi okazać w tej postaci kamiennej, odtwarzającej ukochane rysy twoje, że brak czułości i

lekkomyślne życie twego syna doprowadzi cię do grobu? O najczcigodniejsza z kobiet! Serce twego Alwara, chociaż tak bardzo zbląkanego, do ciebie należy! Wolałby on raczej umrzeć tysiąc razy niż odmówić należnego ci posłuszeństwa! Niechaj świadkiem będzie ten marmur nieczuły! Ach, tyrańska pożera mnie namiętność, której nigdy już opanować nie potrafię! Przed chwilą przemawiałaś do oczu moich, ach, przemów i do serca, naucz mnie, jak bez narażenia życia namiętność tę poskromić, jeżeli już uczynić to muszę.”

Wznosząc te prośby błagalne, rzuciłem się twarzą do ziemi i w tej pozycji czekałem na odpowiedź, a byłem pełen takiego uniesienia, iż wierzyłem prawie, że ją otrzymam.

Dziś rozumiem, czego wtedy zrozumieć nie mogłem, że zawsze, kiedy potrzebujemy wyjątkowej pomocy i rady, jak postąpić, prosimy o nie gorąco, z całych sił, i w ten sposób, choćby prośby nasze nie miały być nawet wysłuchane, stwarzamy sobie, skupiając się, sposobność zużycia wszystkich źródeł własnej mądrości naszej. Zmuszony byłem zdać się na swoją, i oto co mi podsunęła: "Spełnisz obowiązek, zaś od namiętności swej oddzielisz się znaczną przestrzenią. Bieg wypadków nauczy cię, co dalej czynić." - Pójdę tedy - rzekłem powstając bez namysłu - do matki i przed nią serce otworzę. Jeszcze raz ucieknę się pod jej

słodką

obronę.

Wracam do oberży, w której zwykle stawałem, wynajmuję karete i nie obarczając się bagażem, ruszam do Turynu, aby przez Francję dotrzeć do Hiszpanii, przedtem jednak przygotowuję paczkę, zawierającą przekaz na trzysta cekinów oraz następujący list: Do mojej drogiej Biondetty.

„Z bólem opuszczam cię, najdroższa. Gdybym nie był pewny, że rychły powrót pocieszy serce moje, powiedziałbym, że się z

życiem żegnam. Jadę do matki. Mając ukochaną twą postać przed oczyma, przekonam ją, zyskam jej zgodę i powrócę, by zawrzeć związek, który stanowi me szczęście. Szczęśliwy,

żem najpierw spełnił obowiązek, a potem dopiero oddał się całkowicie miłości - resztę życia u

stóp w ofierze ci złożę. Poznasz Hiszpana, Biondetto. Z postępowania jego przekonasz się, że słuchając głosu honoru i krwi, potrafi on jednocześnie i innym wymaganiom zadośćuczynić.

Kiedy ujrzysz pomyślne wyniki jego

„przesądów”, nie nazwiesz pychą uczucia, które go z nimi wiążą. Nie mogę wątpić o miłości twej: okazałaś ją w całkowitym

posłuszeństwie i oddaniu, a potwierdzić możesz łaskawą pobłażliwością wobec planów, których celem jedynym jest wspólne

szczęście nasze. Załączam sumkę potrzebną na utrzymanie domu naszego, z Hiszpanii zaś przyślę ci to, czego jak sądzę, najbardziej godna będziesz, oczekując, iż najczulsza w świecie miłość na zawsze ci przywróci twego niewolnika.”

Jechałem do Estremadury podczas najpiękniejszej pory roku i zdawało się, że wszystko równie niecierpliwie jak ja oczekuje przybycia mego do ojczyzny. W dali dostrzegam już wieżę Turynu, gdy wtem pojazd mój wyprzedza karetę pocztowa, po czym zatrzymuje się, a w oknie jej widzę postać kobiecą, dającą mi jakiś znak spoza firanki i w pośpiechu otwierającą drzwiczki.

Pocztylion mój, samo chcąc, zatrzymuje konie, wychodzę - już mam w ramionach omdlałą i nieprzytomną Biondettę, która zdołała zaledwie wyszeptać: „Alwarze, opuściłeś mnie!”

Zanoszę ją do swego powozu, bo tylko tam posadzić ją mogłem wygodnie: szczęśliwym trafem był dwuosobowy. Robię, co tylko mogę, aby jej oddech ułatwić, rozpinając te suknie, które ją krępują, i trzymając ją w ramionach każę jechać dalej: łatwo sobie wyobrazić w jakim usposobieniu.

Zatrzymujemy się przed pierwszą oberżą o znośnym wyglądzie. Każę zanieść Biondettę do najwygodniejszego pokoju, położyć na łóżko i siadam przy niej. Posyłam po esencję i eliksiry trzeźwiące. Nareszcie otwiera oczy.

- Po raz drugi chciano mnie zabić - wyszeptała. - Niechby już raz się stało!...

- Jakże jesteś niesprawiedliwa - zawołałem. - Przez kaprys sprzeciwiasz się memu postępowaniu, o którym wiesz, że jest konieczne. Gdybym ci ustąpił, naraziłbym się na zaniedbanie obowiązku, na przykrości i wyrzuty sumienia, które zmałyby spokój naszego związku. Postanowiłem opuścić cię, aby uzyskać zgodę matki...

- Dlaczego nie powiedziałaś mi nic o tym postanowieniu, ty okrutniku! Czyż nie po to istnieję, aby ci być posłuszną? Byłabym

usłuchała ciebie! Ale zostawiać mnie samą, bez opieki, narażoną na zemstę wrogów, których zyskałam tylko przez ciebie, wystawioną, z twojej winy, na hańbę i obelgi!

- Któż by śmiał? Wytłumacz się, Biondetto!

- A któż by się zawahał skrzywdzić istotę płci słabej bez opieki i pomocy?... Łotr Bernadillo pojechał za nami do Wenecji. Kiedy tylko opuściłeś miasto, kazał on osaczyć dom twój nad Brentą widmom przez siebie stworzonym. Ciebie się już nie bał, mnie także nie mógł nic złego uczynić od czasu, gdy należę do ciebie, ale potrafił wzburzyć imaginację oddanych mi ludzi. Przerazone

służebne opuściły mnie. Gruchnęła wieść, potwierdzona wieloma pismami ulotnymi, że kobold uprowadził kapitana gwardii

królewskiej z Neapolu i zawiózł go do Wenecji. Twierdzą, że to ja jestem owym koboldem, o czym świadczą pono różne znaki. Wszyscy zaczynają mnie unikać, lękają się mnie. Daremnie błagam o pomoc i litość. Wreszcie za złoto uzyskuję to, czego mi odmawiała miłość bliźniego. Przeplacam i kupuję tę nędzną karetę. Biorę przewodników, pocztylionów i podążam za tobą.

Podczas tej opowieści o przejściach Biondetty stanowczość moja jakby zaczęła się chwiać.

- Nie mogłem - mówię - przewidzieć tego rodzaju wypadków. Widziałem, że cieszysz się zasłużonym szacunkiem i poważaniem u wszystkich mieszkańców wybrzeża Brenty. Czyż mogłem wyobrazić sobie, że się to zmieni podczas nieobecności mojej? Lecz ty, Biondetto,

która przyszłość wzrokiem prześwieślać umiesz, czyż nie mogłaś przewidzieć, że sprzeciwiając się tak

rozsądnym planom moim doprowadzisz mnie do ostateczności? Dlaczego więc...

- Czyż zawsze można opanować tę chęć sprzeciwiania się? Jestem wprawdzie kobietą z własnej woli, ale jako kobieta, Alwarze, istotą skazaną na odczuwanie wszelkich wrażeń. Pośród stref wybrałam materię pierwotną i z niej to utworzone jest ciało moje. Jest ona bardzo wrażliwa. Gdybym taką nie była, brakłoby mi czułości; ty byś jej we mnie nie mógł obudzić - i stałabym się dla ciebie nie do zniesienia. Wybacz mi więc, że się odważyłam przybrać wszystkie wady, właściwe płci mojej, by w miarę możliwości dołączyć do nich wszystkie jej zalety. Lecz gdy już raz popełniłam to szaleństwo, gdy stałam się taką, jaką jestem, odczucia moje mają żywość nieporównaną. Fantazja moja jest jak wulkan. Słowem, wrę we mnie namiętności tak gwałtowne, że powinny cię przerazić, gdybyś sam nie był przedmiotem najzarliwszej z nich i gdybyśmy nie znali zasad i skutków tych przyrodzonych wybuchów lepiej niż doktorzy z Salamanki. Lecz oni nadają im nazwy pogardliwe lub przynajmniej rozprawiają o tym, jak by je stłumić. Zagasić ogień niebieski, tę siłę jedyną, za pomocą której dusza i ciało mogłyby działać wzajemnie na siebie i zmuszać

się do zachowania koniecznej łączności! Jakie to głupie, mój drogi Alwarze! Porywy swoje należy powściągać, lecz nieraz także folgować im, jeżeli się im sprzeciwiać i podżegać je - wybuchną kiedyś nagle i wtedy rozum sam nie będzie wiedział, gdzie schronić się, aby rządzić. W takich chwilach bądź dla mnie pobłażliwy, Alwarze. Żyję dopiero sześć miesięcy. W zachwyty wprawia mnie wszystko, czego doświadczam. Pomyśl, że jedno twoje „nie”, jedno słowo nierozważne rani miłość, obraża dumę, wywołuje gniew, nieufność i lęk. Co mówię! Przewiduję wtedy, że stracę biedną moją głowę i że mój Alwar będzie również jak ja nieszczęśliwy!

- O Biondetto - odparłem - nadziwić ci się nie mogę! W wyznaniach dotyczących namiętności twoich widzę, zda się, naturę samą: Zwalczymy owe pasje czułością wzajemną. Czegóż zresztą nie powinniśmy oczekiwać po radach czcigodnych matki, która nas z otwartymi przyjmie ramionami? Pokocha cię ona, wszystko zapewnia mi o tym i wszystko przyjdzie nam z pomocą, abyśmy pędzili dni szczęśliwe.

- Muszę pragnąć tego, czego ty pragniesz, Alwarze. Lecz znam lepiej płęć moją i nie pokładam takich jak ty nadziei. Będę jednak posłuszna, aby ci się przypodobać. Poddaję się. Zadowolony z takiego obrotu sprawy, uradowany podróżą do Hiszpanii, za zgodą i w towarzystwie istoty, która zawładnęła rozsądkiem moim i zmysłami - chciałem jak najprędzej znaleźć przejście przez Alpy, aby dostać się do Francji. Lecz od czasu kiedy przestałem być samotny, niebiosy - zda się - odwróciły się ode mnie; okropne nawałnice powstrzymują mą jazdę, psują drogi, a przejścia czynią niemożliwymi do przebycia. Konie padają - powóz mój, który zdawał się nowym i dobrze spojonym, na każdym popasie wykazuje uszkodzenia: czy to w osi, czy pudle lub w kołach. Wreszcie, po nieskończonych przeciwnościach, przybywam do przełęczy Tende. Tak wiele mając powodów do niepokoju i do przewyciężenia tyle przeszkód, spowodowanych uciążliwą, tą podróżą - podziwiałem osobę Biondetty. Nie była to owa kobieta czuła, smutna lub porwana zachwytem, którą widziałem dotychczas; zdawało się, że chce ulżyć mym prywacjom, co chwila wybuchając szaloną wesołością, aby przekonać mnie, że trudy te nie mają dla niej nic odstrasżającego. Cała ta czarująca igraszka przeplatana była pieszczotami, zbyt kuszącymi, abym mógł się im oprzeć; oddałem im się, lecz z zastrzeżeniem; wchodząca w grę duma stała się hamulcem gwałtownych mych namiętności. Zbyt dobrze w oczach mych rozpoznawała rozterkę, aby nie starać się jej spotęgować.

Przyznaję - byłem w niebezpieczeństwie. Pewnego razu, między innymi, nie wiem, na co narażona

zostałaby cnota, gdyby nie złamało się koło. To skłoniło mnie do większej nieco baczości na przyszłość.

Po niewiarygodnych trudach przybyliśmy do Lyonu. Ze względu na jej wygodę zgodziłem się odpocząć tu dni kilka. Skierowała

mój wzrok na niewymuszoność i łatwość obyczajów narodu francuskiego.

- Oto gdzie chciałabym, żeby cię wprowadzono: do Paryża, na dwór jego. Nie zabrakłoby ci tutaj środków jakiegokolwiek rodzaju; obierzesz sobie godność, jaka ci się spodoba, a ja jestem w posiadaniu sposobów, dzięki którym z pewnością odegrasz rolę najpierwszą.

Francuzi słyną z galanterii; jeżeli nie przeceniam zbyt swą postać, najwykwintniejsi spośród nich przybędą z

hołdem dla mnie, a ja poświęcę wszystkich dla mego Alwara. Cóż za świetny tryumf dla próżności hiszpańskiej.

Propozycję tę przyjąłem jako igraszkę.

- Ależ nie, ja na serio powzięłam ten kaprys...

- Zatem możliwie szybko jedźmy do Estremadury - odparłem powrócimy, aby na dworze Francji przedstawić małżonkę Don Alwara Maravillas; nie wypadaloby przecież, abyś pojawiła się tylko jako awanturka...

- Jestem w drodze do Estremadury powiedziała ale trudno jest mi uważać ją za miejsce, gdzie znajdę szczęście. Jakżeż powinnam postąpić, aby nigdy tam się nie znaleźć?

Słyszałem i widziałem jej odrazę, lecz dążyłem do mego celu i wkrótce znalazłem się na terytorium hiszpańskim. Nieprzewidziane przeszkody, kałuże, drogi nie do przebycia, pijani poganiacze, odporne muły - mniej jeszcze pozwoliły mi wytchnąć aniżeli w Piemontie i Sabaudii.

Słusznie mówi się dużo złego o oberżach hiszpańskich; mimo to uważałem się za szczęśliwego, jeśli przeciwności zaznane podczas dnia nie zmuszały mnie spędzić części nocy w szczyrim polu lub w jakiejś odległej szopie.

Do jakiego zmierzamy kraju mówiła sądząc z tego, co przechodzimy! Czy bardzo jeszcze jesteśmy oddaleni?

Jesteś podjąłem w Estremadurze i nie więcej nad dziesięć mil od zamku Maravillas...

- Z pewnością nie zdołamy tam przybyć; niebo samo wzbrania nam zbliżenia. Spójrz na chmury, jakimi się powleka.

Wzrok obróciłem na niebo i nigdy jeszcze nie wydało mi się ono groźniejsze. Dałem do zrozumienia Biondetcie, że szopa, w której przebywaliśmy, mogła nas ochronić przed burzą.

- A czy uchroni nas także od pioruna? - zapytała.

- Cóż uczynić ci może piorun, tobie, przyzwyczajonej do życia w przestworzach, która tylekroć widziałaś jego powstanie i powinnaś być obznajmiona z jego fizycznym pochodzeniem.

- Nie obawiałabym się, gdybym go mniej znała: przez miłość dla ciebie poddałam się prawom fizycznym i lękam się ich, gdyż są fizyczne i zabijają.

Znajdowaliśmy się na dwóch wiązках słomy w dwóch odwrotnych końcach szopy. W międzyczasie burza, naprzód donosząc o sobie z oddali, zbliża się i wyje straszliwie. Niebo zdało się łuną, miotaną przez wiatry w tysiące przeciwnych kierunków; uderzenia piorunów, powtarzane przez czeluście pobliskich gór, huczały wokół nas przerażająco. Nie następowały one po sobie, zdały się uderzać o siebie. Wichura, grad, deszcz współzawodniczyły między sobą; które z nich więcej doda grozy okropnemu obrazowi, jaki trapił zmysły nasze. Nagła błyskawica zdaje się zapalać nasze schronisko. Następuje straszliwe uderzenie. Biondetta z

zamkniętymi oczami, z palcami w uszach, rzuca się w moje ramiona, krzycząc: „Ach, Alwarze, jestem zgubiona...”

Chcę ją uspokoić. „Połóż rękę na moim sercu” - mówi. Kładzie ją na swą pierś i chociaż przez pomyłkę dała mi dotknąć miejsca, w którym uderzenia nie mogły być najsilniejsze, uczułem jednak, że bicie jej serca było niezwykle. Ścisnęła mnie ze wszystkich sił i podwajała je przy każdej błyskawicy. Wreszcie rozlega się piorun straszliwszy od wszystkich dotychczasowych. Biondetta uchyla się od niego w taki sposób, że w razie wypadku, nie mógłby uderzyć w nią, o ile wprzód nie dosięgnąłby mnie.

Ten objaw bojaźni wydał mi się osobliwym i zacząłem się lękać o siebie, nie skutków burzy, lecz sprzysiężenia uknutego, być może, w jej głowie celem pokonania mego stanowczego oporu wobec jej zamiarów. Chociaż bardziej wzburzony, niż mógłbym to wyrazić, powstaje: „Biondetto - mówię jej - sama nie wiesz, co czynisz. Opanuj to przerażenie, zgiełk ten nie grozi tobie ni mnie.”

Spokój mój musiał ją zaskoczyć; lecz mogła ukryć przede mną swe myśli, nadal udając wzruszenie. Na szczęście nawałnica uczyniła swój ostatni wysiłek. Niebo wypogodziło się i światło księżyca zapewniło nas wkrótce, że nie ma się już czego obawiać ze strony skłóconych elementów.

Biondetta pozostała na miejscu, gdzie się położyła. Usiadłem obok niej, nie mówiąc ani słowa: spała widocznie, a ja zacząłem dumać z większym smutkiem, niżli to czyniłem od samego początku mej przygody, rozważając skutki nieuniknienia złowróznej mej namiętności. Podam tylko wątek mych rozmyślań. Oto kochanka ma być czarująca, lecz ja chciałem z niej uczynić żonę.

Dzień zastał mnie pogrążonego w tych myślach; wstałem, by się przekonać, czy znów mogę udać się w drogę. Chwilowo było to dla mnie niewykonalne. Poganiacz prowadzący mą karocę oświadczył mi, że muły jego odmawiają posłuszeństwa. Gdy tak trwałem w zakłopotaniu, podeszła do mnie Biondetta.

Zacząłem tracić cierpliwość, kiedy przed drzwiami zagrody pojawił się osobnik o ponurym wyglądzie, lecz silnej postawie, pędząc przed sobą dwa rosłe muły. Zaproponowałem mu, by mnie zaprowadził do domu rodzinnego; znał on drogę i ugodziliśmy cenę.

Właśnie miałem na nowo wsiąść do pojazdu, kiedy zdało mi się, że rozpoznaję pewną wieśniaczkę, która przechodziła przez

drogę w towarzystwie idącego za nią lokaja; zbliżam się, przyglądam się jej dokładnie. To Berta, uczciwa dzierżawczyni z mej wsi, siostra mojej niańki. Przywołuję ją: zatrzymuje się i z kolei ogląda mnie, lecz z najwyższym zdumieniem.

- Czy to być może! więc to pan jest, Don Alwarze? - wykrzykuje. - Czegóż szukasz w miejscu, gdzie zaprzysiężono ci zgubę, gdzie pozostawiłeś rozpacz?...

- Ja? Ależ kochana Berto, cóż uczyniłem?...

- Jak to? Czyż sumienie nie wyrzuca ci, don Alwarze, smutnego położenia, do jakiego doprowadzona została twoja czcigodna matka, a nasza dobra pani? Ona umiera...

- Ona umiera! - zawołałem.

- Tak - ciągnęła - i jest to wskutek zgryzoty, której ty jesteś powodem; w tej chwili kiedy to mówię, pewnie już nie żyje. Otrzymała listy z Neapolu, z Wenecji. Doniesiono jej rzeczy, które przyprawiają o dreszcz. Nasz dobry pan, brat pański, jest wściekły; powiada, że postara się wszędzie o rozkazy przeciwko tobie, że doniesie o tobie, że cię nawet wyda...

- Wracaj więc, pani Berto, i jeśli przybędziesz przede mną do Maravillas, donieś memu bratu, że wkrótce się zobaczymy.

Karoca była zaprzęzona, nie zwlekając więc, podaję Biondetcie rękę, kryjąc niepokój duszy pod pozorami stałości. Ona jednak, okazując przerażenie, woła:

- Jakże to, mamyż wydać się w ręce brata twego? Mamy przez obecność swoją rozjątrzyć zagniewaną rodzinę i zrozpaczonych podwładnych...

- Nie potrafiłbym obawiać się brata swego, pani; jeśli pomawia mnie o krzywdę, której się nie dopuściłem, jest rzeczą ważną, abym go wywiódł z błędu. Jeśli zaś nie mam słuszności, powinienem się usprawiedliwić; a że błędy moje nie pochodzą z serca, mam prawo liczyć na jego współczucie i wyrozumiałość. Jeśli matkę swą wtrąciłem do grobu przez mą niestałość i rozwiążłość, winienem naprawić zgorzenie i tak głośno oplakiwać tę stratę, aż prawdziwość i jawność mej skruchy zmaże w oczach całej Hiszpanii plamę, którą brak uczuć naturalnych zaszczerpił mojej krwi...

- Ach, Don Alwarze, siebie i mnie doprowadzisz do zguby; listy te pisane zewsząd, uprzedzenia, rozpowszechniane z tak wielkim pośpiechem i gorliwością są to skutki przygód naszych i prześladowań, jakich doznałam w Wenecji. Łotr Bemadillo, którego nie znasz dostatecznie, naprzykrza się twemu bratu; doprowadził go do tego...

- E, i czegoż miałbym, się obawiać ze strony Bernadilla i wszystkich tchórzów ziemi? Jestem dla siebie, pani, jedynym wrogiem, którego się lękam. Nigdy brata mego nie doprowadzę do ślepej zemsty, do niesprawiedliwości, do czynów niegodnych człowieka rozumu i męstwa, szlachcica wreszcie.

Po tej dość ożywionej rozmowie następuje milczenie; mogłoby ono się stać kłopotliwe dla stron obu, lecz po kilku chwilach Biondetta z wolna usypia. Czyż mogłem nie spoglądać na nią? Mogłem że patrzeć na nią bez wzruszenia? Na twarzy jej olśniewającej wszystkimi skarbami i wspaniałością młodości sen do wdzięków naturalnych spokoju dorzucał tę czarującą i ożywioną świeżość, która wszystkie rysy czyni doskonałymi; nowy zachwyty owłada mną; odsuwa on me podejrzenia; niepokoje me chwilowo znikły, a jeżeli o co się żywo niepokoje, to o istotę ukochaną, której głowa podrzucana wstrząsami pojazdu, odczuwa - być może - niewygodę z powodu szorstkiej gwałtowności ruchu. Zajmuję się tylko podtrzymywaniem i chronieniem jej. Wtem odczuwamy tak nagły wstrząs, że jest mi niepodobniestwem obronić się przed nim; Biondetta krzyknęła - i już jesteśmy wywróceni. Oś pękła; muły na szczęście zatrzymały się. Wydostaję się i podążam ku Biondetcie, pełen najwyższej obawy. Skaleczyła się tylko lekko w łokieć i wkrótce znajdujemy się w szczerym polu, wystawieni na żar słońca w samo południe, pięć mil oddaleni od zamku matki mojej, lecz bez widoku na jekielkolwiek środki, które umożliwiłyby udanie się tam, gdyż - jak daleko wzrok sięgał - żadne miejsce nie zdało się zamieszkałe.

Tymczasem, rozglądając się uważnie, rozpoznaję jak gdyby w odległości mili dym unoszący się z zarośli, pomieszanych z kilkoma dość wysokimi drzewami; wobec tego, powierzając mój pojazd opiece poganiacza, nakłaniam Biondetkę, aby udała się wraz ze mną w kierunku, skąd przypuszczalnie oczekiwać mogliśmy pomocy.

Im dalej kroczymy, tym bardziej wzmagają się nadzieje nasze; już wydaje się, jak gdyby lasek dzielił się na dwoje; wkrótce tworzy on aleję, u krańca której dostrzegamy skromne zabudowania, wreszcie ukazuje się okazały folwark.

Wszystko zdaje się być w ruchu w tej, odosobnionej zresztą, osadzie. Skoro tylko nas dostrzeżono, człowiek jakiś odłącza się i idzie nam naprzeciw.

Wita nas uprzejmie. Wygląd jego jest uczciwy: jest on przybrany w kaftan z czarnego atłasu z wyłogami koloru płomienia, ozdobiony kilkoma srebrnymi sznurami. Wiek jego ocenić można na jakie dwadzieścia pięć do trzydziestu lat. Ma on cerę wieśniaka; świeżość jej przebija spod opalenizny i zwiastuje siłę i zdrowie.

Powiadamiam go o wypadku, który mnie sprowadza do niego.

- Waćpan, kawalerze - odpowiedział - będziesz zawsze przychylnie przyjęty: jesteś w gościnie u ludzi dobrej woli. Mam tutaj kuźnię i oś twa zostanie naprawiona, lecz choćbyś mi ofiarował dzisiaj całe złoto J.O.ks.Medina-Sidonia, pana mego, ani ja, ani nikt z ludzi moich nie mógłby przystąpić do roboty.

Właśnie wracamy z kościoła: jest to najpiękniejszy z naszych dni. Wejdz proszę. Widząc pannę młodą, mych krewnych, przyjaciół mych i sąsiadów, których winie-nem ugościć, sam osądzisz, czy jest dla mnie rzeczą możliwą pracować teraz.

Zresztą, jeśli państwo nie wzgardzicie towarzystwem złożonym z ludzi, którzy, póki istnieje monarchia, utrzymują się z pracy rąk własnych - zasiądziemy do stołu; dzisiaj wszyscy jesteśmy szczęśliwi; od was tylko będzie zależeć, czy podzielicie radość naszą. Jutro pomyślimy o robocie.

Jednocześnie kazał sprowadzić mą karocę.

Stałem się tedy gościem Marka, arendarza J. O. księcia. Wchodzimy do sali, przeznaczonej na ucztę weselną. Przylegała ona do głównego pomieszczenia i zajmowała całą głębię podwórza. Była to sklepiona altana ustrojona girlandami kwiatów, z której widok rozpościerał się daleko poprzez dwa gaiki tworzące aleję i ginał malowniczo w polu.

Stół nakryty już. Panna młoda, Luiza, siedzi pomiędzy mną a Markiem mającym Biondettę za sąsiadkę. Ojcowie, matki oraz inni krewni siedzą naprzeciw nas. Młodzież zajęła miejsca z obydwóch końców stołu.

Panna młoda opuszczała wciąż wielkie czarne oczy, które nigdy dotychczas ukradkiem patrzeć nie umiały; wszystko, co się mówiło, nawet rzeczy obojętne, wywoływały na twarzy jej uśmiech i rumieniec.

Z początku ucztę panował nastrój poważny. Leży to w charakterze narodu. Im więcej jednak wina ubywało w miechach, tym bardziej wesołe stawały się twarze. Wszyscy się ożywili, gdy wtem zjawili się wokół stołu poeci-improvizatorzy z okolicy. Byli to ślepy, którzy przy akompaniamencie gitary zaśpiewali piosenkę następującą:

Marek do swej lubej woła:

„Chcesz me serce, powiedzże?”

Dziewczę mówi

: „Chłopcze, chcę,

Lecz pójdź ze mną do kościoła.

Nasze usta tam i oczy

Już na zawsze Bóg zjednoczy.

"Gdy miłości ciekaw który,

Co się wiecznie palić będzie,

Niech nie zwleka i przybędzie

Do boskiej Estremadury.

Ona piękna jest i miła,

On zazdrosnych wielu ma:

Ale na nic to się zda,

Gdyż miłość ich połączyła.

Cała wioska jest w podziwie,

Jak im płyną dni szczęśliwie.

Gdy uczucia ciekaw który,

Co się między dwojgiem przedzie -

Niech nie zwleka i przybędzie

Do boskiej Estremadury.

Z sercem wspólnie bije serce,

Szczęśliw, kto tak życie wiódł -

Jak złączone owce trzód,

Bieży pasterz ku pasterce.
Ich radości drogą jedną
Z cierpieniami zgodnie biegną.
Kiedy stała ciekaw który,
Co szczęśliwe z sobą wszędzie -
Niech nie zwleka i przybędzie
Do boskiej Estremadury.

Podczas tego, gdy towarzystwo słuchało tej piosenki - prostej jak ci, dla których zdawała się stworzona - wszyscy parobcy gospodarscy, wolni już od podawania potraw, zabrali się z radością do spożywania resztek poczęstunku, a wraz z nimi Cyganie i Cyganki zwołani tu dla tym większej uciechy gości. Utworzyli oni pod drzewami alei ruchliwe i urozmaicone grupy, które

podziwialiśmy z daleka.

Biondetta nie spuszczała ze mnie oczu i wzrokiem starała się kierować spojrzenie moje na te postaci, zajęcie się którymi zdało

się jej sprawiać przyjemność. W oczach jej czytałem jak gdyby wyrzuty, iż nie dzielę w dostatecznej mierze jej rozrywki.

Lecz ucztą przeciągała się zbyt długo; młodzież zaczęła okazywać zniecierpliwienie i czekała na rozpoczęcie tańca. Starsi, jako przystoi, zrozumieli to w mig. Sprzątnięto więc ze stołu, zabrano deski stół ów tworzące, kozły, na których spoczywały, odsunięto w głąb altany i ustawiono z nich w kącie estradę dla muzykantów. Zagrano fandango sewilskie; tańczą je młode Cyganki z kastanietami. Goście weselni idą w ślad ich i wszyscy puszczają się w tan.

Widowisko to Biondetta zdawała się pożerać oczyma. Nie ruszając się z miejsca, naśladuje ona wszystkie ruchy, które spostrzega. Wreszcie odzywa się:

- Czuję, że pokochałabym taniec do szaleństwa!

I już tańczy. I już mnie do tańca ciągnie. Z początku czyni to nieumiejętnie, jest nawet trochę niezgrabna. Ale wprawiła się szybko i wykazuje wdzięk i pewność siebie, lekkość i dokładność. Zgrzała się, szuka chusteczki, chwyta swoją, potem moją, potem czyjaś, która jej akurat w ręce wpadła. Zatrzymuje się tylko po to, aby osuszyć pot.

Taniec nigdy nie był moją namiętnością. Zresztą nie było mi na duszy tak wesoło, abym mógł oddać się tej pusteż zabawie. Wymykam się więc; chcę się w kącie altany i podumać spokojnie.

Wtem słyszę głośną paplaninę, której mimo woli zaczynam się przysłuchiwać. Dwa głosy rozlegają się za mną:

- Tak, tak - mówi jeden - to dziecko planety. Wejdzie ono do domu swego. Patrz, Zoradillo, urodziło się trzeciego maja o trzeciej nad ranem.

- Tak jest, Lelagizo - odpowiada drugi głos - biada dzieciom Saturna! A ten urodził się pod wznoszącym się Jowiszem, gdy Mars z Merkurem byli potrójnie z Wenerą złączeni. O, jak piękny jest ten młodzian! Jak szcudrze obdarzyła go natura! jaką ma przyszłość przed sobą! jak może być szczęśliwy! lecz...

Znałem godzinę swego urodzenia i usłyszałem, jak wymieniono ją z największą dokładnością. Odwracam się i widzę dwie stare Cyganki, które przykucnęły w kącie i szwargotały. Cera ciemnooliwkowa, oczy podkrążone i płonące, usta zapadłe, nos wąski, lecz nadmiernie wielki, który garbiąc się od samego czoła, dotyka

podbródka; strzęp materii prążkowanej biało i niebiesko dwa razy okala półwypełzłą czaszkę, opada w postaci szarfy na ramię, a stąd na biodra w ten sposób, że pozostawia je półnagimi - słowem, widok niemal równie oburzający, jak śmieszny. Podchodzę do nich.

- Czy o mnie mówiły paniusie - pytam widząc, że nie przestawały mi się przypatywać i dawać sobie znaki.

- Więc pan nas słyszał, kawalerze?
- Niewątpliwie - odparłem. -I któż-że to tak dokładnie obznajmił was z godziną mego urodzenia?...
- Innych jeszcze ciekawych rzeczy mógłbyś się dowiedzieć od nas, szczęśliwy młodzieńcze; lecz musisz rozpocząć od brzęczącej zachęty.
- Jeśli tylko o to chodzi - odpowiadam i nie zwlekając daję im dublona.
- Spójrz, Zoradillo - mówi najstarsza - spójrz, jak jest szlachetny, jak bardzo godny zakosztować wszystkich skarbów, które są mu przeznaczone. Brzęknij więc w gitarę i wtóruj mi.

Zaczyna śpiewać:

To Hiszpania cię zrodziła,
Lecz Neapol żywił cię
Ziemią władnie twoja siła,
Niebios moc cię ochroniła,
Ich wybrańcem staniesz się.

Szczęście, które dziś ci głoszę,
Lotne jest i krótko trwa -
Chwyć je bez wahania, proszę,
A skorzysta zeń po trosze
Śmiałość oraz mądrość twa.
Cóż-że to za stwór uroczy,
Co się oddał w twoją moc?
Jestże...

Staruchy rozochociły się. Cały zamieniłem się w słuch. Biondretta porzuciła tańce: przybiega, ciągnie mnie za ramię, zmusza mnie do oddalenia się.

- Czemu opuściłeś mnie, Alwarze? Co robisz tutaj?
 - Słuchałem - odpowiadam.
 - Jak to - mówi, pociągając mnie za sobą - słuchałeś tych starych wiedźm?
 - Prawdę mówiąc, kochana Biondetto, te istoty są zastanawiające. Posiadają one więcej wiadomości, niżeli im się przypisuje...
 - Niewątpliwie - odparła z ironią - wykonywały swe rzemiosło, przepowiadały ci; czyżbyś im dowierzał? Pomimo twego rozumu masz naiwność dziecka. I to są zatem sprawy, które nie pozwalają ci się mną zająć?...
 - Przeciwnie, kochana Biondetto, właśnie wspominały o tobie.
 - Wspominały o mnie - podjęło żywo, jak gdyby zaniepokojona -cóż mogą one wiedzieć o mnie? Cóż mogą powiedzieć? Przesadzasz. Będziesz tańczył cały wieczór, by dać mi zapomnieć to niewczesne oddalenie się.
- Idę za nią, wracam na nowo do towarzystwa, lecz bez uwagi na to, co odbywa się wokół mnie, co sam czynię. Myślałem o tym tylko, aby się wyrwać, aby gdziekolwiek odszukać moje wróżki. Wreszcie, zdaje mi się, że nadszedł moment odpowiedni. Korzystam zeń. W jednej chwili odszukuję je, podbiegam do mych wiedźm i prowadzę do altanki, która znajdowała się na końcu ogrodu warzywnego. Tam błagam je, aby rzeczowo, bez zagadek i z możliwą wreszcie zwięzłością wyjawily mi, cokolwiek mogłyby o mnie wiedzieć interesującego. Zakłęcie było silne, gdyż miałem pełne dłonie złota. Równie niecierpliwie pragnęły mówić, tak jak ja usilnie pragnąłem słuchać. Wkrótce niepodobna było mi wątpić, że znały najskrytsze szczegóły dotyczące się mojej rodziny i, chociaż niejasno, związek mój z Biondetta,

moje obawy, moje nadzieje; zdawało mi się, że dowiaduję się rzeczy ciekawych, spodziewałem się dowiedzieć jeszcze ważniejszych, lecz otóż czujny mój Argus odszukał już mój ślad.

Biondetta nie przybiegła: przyfrunęła. Chciałem przemówić.

- Dość usprawiedliwień - zawołała - ponowna wina jest niewybaczalna...

Jestem pewien - mowie - że mi wybaczysz. Chociaż nie pozwoliłaś mi odsłonić tyle, ile byłbym mógł, odtąd jednak wiem dość...

- Aby uczynić jaką nieopatrzność... Jestem wściekła, lecz nie jest to czas, aby się sprzeczać. Jeżeli narazimy się na utracenie względów dla siebie, winniśmy je naszym gospodarzom.

Wkrótce zasiądą do stołu, będę przy twoim boku i nie ścierpię dłużej twojej ucieczki.

Przy nowym układzie stołu biesiadnego siedzieliśmy naprzeciw nowożeńców. Oboje są podnieceni zabawą całodzienną. Marek ma wzrok płonący. Luiza mniej już onieśmielony: zawstydzienie w odwet jakoby pokrywa jej policzki żywym rumieńcem. Wino xeres, krążące wokół stołu, zdaje się do pewnego stopnia osłabiać powściągliwość: nawet starcy, podochoceni wspomnieniami swych minionych uciech, wyzywają młodzież wybrykami, które pochodzą nie tyle z ożywienia, co ze swawoli. Ten obraz miałem przed oczyma; bardziej jeszcze ruchliwy i różnorodny miałem u boku swego.

Biondetta oddająca się, jak się wydawało, to namiętności, to urazie, z ustami zaciętymi dumnym urokiem pogardy lub

upiękuszonymi czarem wspomnień, dokuczała mi, dąsała się na mnie, szczypała mnie aż do krwi, aby w końcu łagodnie nastąpić mi na nogi. Słowem, w jednej i tej samej chwili była to łaskawość, wyrzut, skarcenie, pieszczota; tak, iż wydany na pastwę tej zmienności uczuć, pozostawałem w niepojętym zamieszaniu.

Młoda para już się oddaliła: część pozostałych poszła za ich przykładem z tych czy innych względów. Opuszczamy stół. Pewna kobieta, o której wiedzieliśmy, że jest ciotką dzierżawcy, ujmuje świecę z żółtego wosku, idzie przodem; idąc za nią, przybywamy do małego pokoiku, o dwunastu stopach kwadratowych: łóżko, nie liczące nawet czterech stóp szerokości, stół i dwa krzesła stanowią umeblowanie. „Oto jedyny pokój, proszę państwa, który moglibyśmy wam ofiarować” - powiada nasza przewodniczka. Potem stawia świecę na stole i pozostawia nas samych.

Biondetta spuszcza oczy. Zwracam się do niej:

- A zatem podałaś nas za małżeństwo?

- Tak - odpowiada - mogłam powiedzieć tylko prawdę. Mam twoje słowo, ty masz moje. Oto rzecz najważniejsza. Twoje ceregiele są środkami ostrożności przeciw obmowie, a ja nic sobie z niej nie robię. Reszta nie zależała ode mnie. Zresztą, jeśli nie zechcesz podzielić ze mną łóżka, które nam ustąpiono, narazisz mnie na zgryzotę; będę świadkiem, jak spędzisz noc w niewygodnej pozycji. Potrzeba mi wypoczynku: jestem bardziej niż znużona, jestem wyczerpana w najwyższym stopniu.

Wypowiadając słowa te w sposób nieznośnie gwałtowny, wyciąga się na łóżku i odwraca się do ściany.

- Czyż naprawdę, Biondetto, naraziłem się tobie? - wykrzykuję. -Czyż aż tak bardzo cię rozgniewałem? Jakżeż mogę zmazać winę? Żądaj choćby życia mego!

- Alwarze - odpowiada nie ruszając się z miejsca - udaj się do twoich Cyganek: niech cię pouczą, jak masz przywrócić spokój memu i twojemu sercu.

- Jak to! Więc rozmowa, jaką miałem z tymi kobietami, jest powodem twojego gniewu? Ach, przecież mi wybaczysz, Biondetto. Gdybyś wiedziała, do jakiego stopnia rady, udzielane mi przez nie, w zgodzie są z twoimi: one to zdecydowały mnie wreszcie nie powracać więcej do zamku Maravillas. Tak, to postanowione, jutro wyruszamy do Rzymu, do Wenecji, do Paryża, do jakiegokolwiek miejsca, gdzie pragniesz, abym zamieszkał z tobą. Tam zaczekamy na przyzwolenie mojej rodziny.

Słyszając to, Biondetta odwraca się. Wyraz twarzy jej był poważny, a nawet surowy.

- Czy przypominasz sobie, Alwarze, czym jestem, czego oczekiwałam od ciebie, co ci doradzałam, abyś uczynił? Jakże to! Zatem posługując się z rozwagą światłem nadprzyrodzonym, jakim jestem obdarzona, nie mogłam doprowadzić ciebie do niczego rozsądnego, a teraz rodzaj mojego i twojego postępowania miałaby oprzeć się na zdaniu dwóch istot, które są najniebezpieczniejsze dla ciebie i dla mnie, o ile nie są także najbardziej pogardy godne? Zaprawdę - wykrzyknęła w przystępie bólu - zawsze obawiałam się ludzi; stulecia całe wahałam się w wyborze, a teraz jest on uczyniony bezpowrotnie. O, jakże jestem nieszczęśliwa.

Po czym zalewa się łzami, które stara się ukryć przede mną. Pokonany przez najgwałtowniejsze namiętności, upadam jej do nóg.

- O Biondetto - wołam - nie widzisz serca mego! Zaprzeszabyś je rozdzierać.

- Nie znasz mnie, Alwarze, i zanim mnie poznasz, narazisz się jeszcze na najokrutniejsze cierpienia. Ostatni wysiłek winien

odsłonić ci zasoby mojej natury i do tego stopnia odzyskać szacunek twój i zaufanie, żebym odtąd nie była narażona na dzielenie się nimi: równie upokarzające, jak niebezpieczne. Twoje wróżbitki zanadto są w zgodzie ze mną, aby nie napawać mnie słuszną i straszliwą obawą. Któż zapewni mnie, że Soberano, Bernadillo, twój i moi wrogowie, nie ukrywają się pod tymi maskami? Wspomnij na Wenecję. Przeciwstawmy ich intrygom rodzaj cudu, którego niewątpliwie nie oczekują po mnie. Jutro przybędę do Maravillas, dokąd przebiegłość ich stara się mnie nie dopuścić; najbardziej upokarzające i przytłaczające podejrzenia powitają mnie tam: lecz Dona Mencja jest sprawiedliwą i godną kobietą; brat twój jest wielkoduszny - zdam się na nich. Wykażę słodycz zadziwiająca, łagodność, posłuszeństwo, cierpliwość; sama wystawię się na próbę. - Zatrzymuje się na chwilę. - Czy dość już będzie twego poniżenia, nieszczęsna sylfido? - wykrzykuje bolesnym tonem; chce mówić dalej, lecz obfitość łez nie pozwala jej dojść do słowa.

Cóż działo się ze mną wobec tych świadectw namiętności, tych oznak boleści, tych postanowień podyktowanych rozsądkiem, tych odruchów odwagi, którą miałem za bohaterską! Siadam obok niej: usiłuję uspokoić ją pieścizotami; początkowo odpycha mnie; wkrótce potem nie odczuwam już oporu, nie mając jednak powodu do zadowolenia z tego; oddech jej staje się uciążliwy, oczy są wółprzymk-nięte, ciało poruszane jest drgawkami, podejrzany chłód rozszedł się po całej skórze, puls uderza ledwo dosłyszalnie, a ciało zdałoby się najzupełniej pozbawione życia, gdyby łyzy nie ciekły z równą, jak wprzódy, obfitością.

O władzo łez! Niewątpliwie jesteś najmocniejszym pociskiem miłości! Podejrzenia moje, postanowienia, przysięgi - wszystko jest zapomniane. Chcąc osuszyć źródło tej rosy drogocennej, nadto zbliżyłem się do tych ust, gdzie świeżość łączy się ze słodką różaną wonią; a gdym chciał się od nich oddalić, dwa ramiona, których białości, miękkości i kształtu nie potrafiłbym opisać, stały się więzami. z których niepodobna mi było się uwolnić...

- O, mój Alwarze! - wykrzyknęła Biondetta - zatryumfowałam: jestem najszcześniejszą z istot. Nie miałem siły, aby przemówić: uczuwałem zadziwiające zmieszanie; powiem więcej, byłem zawstydzony, bez ruchu. Ona zrywa się z łóżka, jest u moich nóg. Zsuwa mi obuwie.

- Jak to, droga Biondetto! - wołam jak to, ty się ponizasza?...

- Ach, niewdzięczniku - odpowiada - służyłam ci, kiedy byłeś tylko moim despotą: pozwól usłużyć memu kochankowi.

W jednej chwili pozbawiony jestem szat: włosy moje, zebrane porządnie, ułożone są pod siatką, którą odnalazła ona w swej kieszeni. Siła, jej ruchliwość, zręczność przezwyciężyły wszystkie przeszkody, jakie zamierzałem przeciwstawiać. Równie zgrabnie przygotowuje swój strój nocny, gasi świecę, która nam przyświecała - i oto zaciągnięte są już firanki.

Wtedy głosem, z którego słodyczą nie dałaby się porównać naj-przedziwniejsza muzyka, zwraca się do mnie.

- Czyż stanowią wreszcie szczęście mego Alwara, tak jak on stanowi moje? Lecz nie: ciągle jeszcze ja tylko jestem szczęśliwa. Ale on będzie szczęśliwy, chcę tego: upoję go rozkoszą, napelnę go wiedzą, wzniosę do szczytu wielkości. Czy chciałbyś, serce moje, stać się istotą najbardziej uprzywilejowaną, poddać władzy swojej, wraz ze mną, ludzi, żywioły, całe wreszcie przyrodzenie?

- O, droga moja Biondetto! - odpowiadam, czyniąc jednak pewien wysiłek - ty mi wystarczasz: wypełniasz wszystkie pragnienia serca mego...

- Nie, nie - odparła żywo - Biondetta nie powinna ci wystarczać; nie jest to moje imię; dałeś mi je: ono mi schlebiało; nosiłam je z przyjemnością; lecz trzeba, abyś wiedział, kim jestem... Jestem Diabłem, kochany Alwarze, jestem Diabłem...

Wygłaszając to słowo tonem czarującej słodyczy, zamknęła mi. drogę do jakichkolwiek, możliwych z mej strony, odpowiedzi. Skoro tylko mogłem przerwać milczenie, powiedziałem...

Przestań, droga ma Biondetto, lub kimkolwiek ty jesteś, wymawiać to imię złowieszcze. Nie przypominaj mi błędu, którego dawno już się wyparłem.

- Nie, drogi Alwarze, nie, to nie był tylko błąd; musiałam cię w wierze tej utwierdzić, kochaneczku. Trzeba cię było oszukiwać, aby wreszcie przywrócić ci rozsądek. Rodzaj wasz wymyka się prawdzie: tylko oślepiając was, można was uczynić szczęśliwymi. Ach, jakżeż bardzo nim będziesz, jeśli tylko zechcesz. Wmawiam sobie, że potrafię przepelnić miarę dobrodziejstw. Już teraz się zgodzisz, że nie jestem tak odrażająca, jak mnie oczerniają malując.

Ta paplanina zmieszała mnie ostatecznie. Opierałem się jej, a upojenie mych zmysłów wspomagało moje dobrowolne roztargnienie.

- Ależ odpowiedz mi przecież - powiedziała.

- Cóż chcesz, abym ci powiedział?

- Niewdzięczny, połóż rękę na sercu tym, które cię uwielbia, niechby, jeśli to możliwe, ożywiło się twoje najlżejszym ze

wzruszeń, które tak dotkliwie uczuwa moje. Pozwól, niech w żyły twe przeleje się nieco tego rozkosznego ognia, którym

rozpłomienione są moje; uczyn, jeśli możesz, łagodniejszym dźwięk tego głosu, stworzonego do wzbudzania miłości, a którym aż nadto często się posługujesz, aby budzić przerażenie w mej duszy lękliwej; powiedz mi, nareszcie, jeśli możesz, ale z taką czułością, jaką ja odczuwam dla ciebie: „Drogi mój Belzebubie, uwielbiam cię...”

Imię to, chociaż wymówione tak czule, przejęło mnie śmiertelnym przerażeniem; zdumienie, odrętwiałość ogarnęły mą duszę;

sądziłbym, że jest unicestwiona, gdyby głuchy głos wyrzutów nie odzywał się w głębi mego serca. Tymczasem wzburzenie mych zmysłów wzmacna się nadal, tym bardziej że nie może być przytłumione rozsądkiem. Ono wydaje mnie bezbronnego w ręce mego wroga, który wykorzystuje to i bez trudu czyni mnie swoją zdobyczą.

Nie daje mi czasu opamiętać się, namyślić się nad błędem, którego raczej jest twórcą niżli współnikiem.

- Sprawy nasze układają się - mówi do mnie, nie podnosząc dostrzegalnie owego tonu głosu, do którego mnie przyzwyczaiła.

- Przybyłeś, aby mnie odszukać: poszłam za tobą, służyłam ci, dogadzałam; wreszcie czyniłam wszystko, czegoś zapragnął. Chciałam cię osiąść i aby to osiągnąć, trzeba było, żebyś mi się oddał z dobrej woli. Niewątpliwie, winna jestem pierwszą twą uległość kilku sztuczkom; co do drugiej - wiedziałeś, w czyje ręce się wydajesz, i nie będziesz mógł osłonić się twą

nieświadomością. Odtąd więzły nasze, Alwarze, są nierozzerwalne, lecz aby spoić nasz związek, jest rzeczą ważną, abyśmy się lepiej poznali. Ciebie umiem już na pamięć, zatem, aby wyrównać nasze szanse, powinnam pokazać się tobie taką, jaką jestem.

Nie zostawiono mi dość czasu do zastanowienia się nad tą dziwną przemową: nagły, bardzo ostry gwizd rozlega się koło mnie. Natychmiast rozpraszają się otaczające mnie ciemności. Gzyms, wznoszący się nad belkowaniem ścian, pokrywa się całkowicie grubymi ślimakami: ich rogi, poruszające się żywo i jakby huśtając się, przetworzyły się w wytryski fosforyzującego światła, którego blask i moc wzmagają się przez ruch i wydłużanie się. Oślepiony niemal tym gwałtownym rozświetleniem, odwracam wzrok na bok; zamiast czarującej postaci cóżże spostrzegam? O nieba, jest to przeraźliwa głowa wielbłąda. Wygłasza ona głosem grzmiącym to posępne: „Che vuoi”, które tak bardzo przeraziło mnie w grocie, wybucha śmiechem ludzkim, bardziej jeszcze przerażającym, wyciąga niepomiarne długi język.

Padam jak długi, ukrywam się pod łóżkiem, z oczami zaciśniętymi, twarzą do ziemi. Czuję, jak serce mi wali z mocą

straszną: doznawałem duszności, jak gdybym miał utracić oddech. Nie umiałbym ocenić czasu, jaki pozostawałem w tej nieopisanej sytuacji, dopóki nie poczułem, że ktoś mnie pociąga za ramię; przerażenie moje rośnie: niemniej zmuszony jestem do otwarcia oczu: nagle światło oślepia je.

Nie było to już światło ślimaków, już nie było ich na gzymsie; lecz słońce świeciło mi prosto w twarz. Ponownie i z podwójną siłą ciągnie mnie ktoś za ramię; rozpoznaję Marka.

- He, he, kawalerze - mówi - o jakiej to godzinie zamyślasz wyruszyć? jeśli chcesz przybyć dziś jeszcze do Maravillas, nie masz czasu do stracenia, jest już blisko południe.

Gdy nic nie odpowiedziałem, wypytuje się:

- Jak to, całkowicie ubrany spoczywałeś na łóżku: więc spędziłeś w nim czternaście godzin nie budząc się? Widocznie

uczuć musiałeś wielką potrzebę wypoczynku? Pańska małżonka domyślała się tego.

Niewątpliwie w obawie przeszkodzenia ci spędziła noc z jedną z mych ciotek. Lecz była ona przezorniejsza od ciebie. Na jej zlecenie wszystko od samego rana przyszykowane zostało w pańskim powozie i możesz, nie zwlekając, wsiąść do niego. Co się tyczy samej pani, nie odnajdziesz jej tutaj. Daliśmy jej dobrą mulicę; chciała skorzystać ze świeżego poranka; wyprzedziła cię i winna cię oczekiwać w pierwszej napotkanej przez ciebie wiosce.

Marek oddał się. Machinalnie przecieram sobie oczy i przesuwam rękami po głowie, aby odnaleźć na niej tę siatkę, w którą

włosy me miały być spowite. Głowa ma jest odkryta, w nieładzie, harcap takim, jakim był dnia poprzedniego: przewiązany

wstążką.

- Czyżbym spał? - zapytuję siebie. - Spałem? Miałbym być na tyle szczęśliwy, aby wszystko to było tylko widzeniem sennym? Widziałem, jak gasiła światło... To ona je zgasiła... A zatem...

Marek powraca.

- Jeśli chcesz zażyć posiłku, kawalerze, jest on przygotowany. Powóz twój, zaprzężony, oczekuje cię.

Powstaję z łóżka; ledwie mogę się dźwignąć, kolana uginają się pode mną. Godzę się na zjedzenie czegokolwiek, lecz nie mogę nie przełknąć. Zatem pragnę podziękować dzierżawcy i wynagrodzić mu wydatek, jakiego stałem się przyczyną. Odmawia mi.

- Pani - odpowiada - wynagrodziła nas i to więcej niż suto; pan i ja, kawalerze, obaj mamy dzielne żony.

Po tych słowach, nic mu nie odpowiedziałem, siadam do mego pojazdu. Po czym ruszamy.

Nie będę opisywał zagmatwania myśli moich: było ono tak wielkie, że obraz niebezpieczeństwa, w jakim mógłbym znaleźć matkę moją - odbijał się w nim tylko nieznacznie. Z oczami w słup, z ustami rozwartymi, byłem raczej automatem niż człowiekiem.

Przewodnik mój budzi mnie. „Kawalerze, w wiosce tej mamy napotkać panią.” Nic mu nie odpowiadam. Przejeżdżamy przez rodzaj miasteczka. W każdym domu dowiaduje się, czy nie widziano młodej damy w takim a takim ekwipażu. W odpowiedzi zapewniają go, że nie zatrzymała się tutaj. Obraca się, jakby chcąc na mym obliczu wyczytać niepokój z tego powodu. I chociaż nie więcej wiedział ode mnie, musiałem mu wydać się bardzo zmieszanym.

Jesteśmy już poza obrębem miejscowości i zaczynam żywić nadzieję, że przedmiot mych obecnych niepokojów oddalił się przynajmniej na czas pewien.

- Ach, gdybym mógł przybyć i rzucić się do nóg Doni Mencii - mówię sam do siebie. - Gdybym mógł oddać się pod opiekę czcigodnej matki mojej, czyżby widziadła, potwory, rozwścieczone na mnie, ważyły się wtargnąć w to schronisko? Odnajdę tam, wraz z uczuciami synowskimi zbawienne te zasady, od których oddaliłem się, z nich uczynię sobie zbroję przeciwko wam. Lecz jeśli zgryzoty, spowodowane przez me życie hulaszcze, pozbawiły mnie tego anioła opiekuńczego... Ha, wtedy żyć będę wyłącznie po to, aby pomścić go na sobie samym. Zagrzebię się w klasztorze... Lecz któż mnie oswobodzi od widziadeł, poczętych w mózgu moim? Przyjmijmy stan kapłański. Płci czarowna, muszę się wyrzec ciebie, piekielna poczwara przybrała wszystkie wdzięki, których byłem bałwochwalcą; cokolwiek ujrzę w tobie wzruszającego, przypomni mi ją...

Pośród rozmyślań tych, na które skupiałem całą uwagę swoją, powóz zajeżdża na wielki dziedziniec zamkowy. Słyszę głos: „To Alwar! To syn mój!” Podnoszę wzrok i rozpoznaję matkę moją na balkonie jej komnaty.

Nic nie da się porównać ze słodyczą i żywością uczuć, których teraz doznaję. Dusza ma zdaje się odradzać: wszystkie siły moje ożywiają się jednocześnie. Podążam, rzucam się w ramiona, które wyciągają się ku mnie. Rzucam się na ziemię.

- Ach - wołam, z oczami zalanymi łzami, głosem przerywanym od szlochu - matko, matko moja! Zatem nie jestem twoim zabójcą? Uznajesz mnie za syna swego? Ach, matko ty mnie obejmujesz...

Namiętność, która mnie ponosi, gwałtowność ruchów do tego stopnia zmieniły rysy moje i dźwięk mego głosu, że Doña Mencia doznała niepokoju. Podnosi mnie tkliwie, ścisza mnie ponownie, zmusza, abym usiadł. Chciałem przemówić: nie mogłem; przypadłem do jej rąk, zalewałem je łzami, okrywałem pieścizotami najbardziej porywczymi.

Dona Mencia ogląda mnie z wyrazem zdumienia: przypuszcza, że wydarzyć mi się musiało coś niezwykłego; lęka się nawet pomieszania zmysłów moich. Podczas gdy niepokój, zaciekawienie, dobroć, czułość malują się w jej zachowaniu i spojrzeniu - jej zapobiegliwość przygotowuje dla mnie wszystko, co może ulżyć podróżnemu, zdrożonemu długą i uciążliwą przeprawą.

Służba z pośpiechem krząta się koło mnie. Przez grzeszność maczam wargi; roztargnione me spojrzenia szukają brata mego. Zaniepokojony, że go nie dostrzegam, pytam:

- Gdzież jest, o pani, godny szacunku Don Juan?

- Rad będzie dowiedzieć się, że jesteś tutaj, gdyż pisał ci, abyś powrócił; lecz listy jego, datowane z Madrytu, wysłane zostały dopiero przed paroma dniami - przeto nie oczekiwaliśmy cię tak wcześnie. Ty jesteś pułkownikiem jego pułku. A jemu król nasz miłościwy powierzył właśnie stanowisko w wicekrólestwie Indii.

- O nieba! - wykrzyknąłem. - Wszystko więc byłoby fałszywe w tym śnie przeraźliwym, który właśnie przeżyłem?... Lecz to niemożliwe...

- O jakim śnie mówisz, Alwarze?

- O najdłuższym, najdziwniejszym, najbardziej przerażającym, jakiego można zaznać.

I oto, przewyciężając pychę i wstyd, szczegółowo opowiadam jej o wszystkim, co przytrafiło mi się od wstąpienia mego do grotty Portici aż do chwili szczęśliwej, kiedy mogłem objąć jej kolana.

Zacna ta kobieta wysłuchuje mnie z uwagą, z cierpliwością, z dobrocią wyjątkową. Ponieważ znałem doniosłość winy mojej, zdawała sobie sprawę, że jest rzeczą bezużyteczną wyrzucać mi ją.

- Kochany mój synu, gonileś za kłamliwą złudą i do tej to chwili byłeś nią otoczony. Niech cię przekona wieść o rzekomej mojej chorobie i o gniewie twego starszego brata. Berta, z którą, jak ci się zdaje, rozmawiałeś, od dłuższego czasu nie opuszcza łóżka, złożona chorobą. Nigdy nie myślałam o przysłaniu ci dwustu cekinów ponad twą pensję. Byłabym się obawiała podtrzymywać twe życie hulaszczce lub przez niewczesną hojność zachęcić cię do niego. A pomiędzy jakimi ośmiuset wsiami parafialnymi, które książę Medina-Sidonia posiada w całej Hiszpanii, nie ma on ani źdźbła ziemi w okolicy, którą wskazujesz: znam ją doskonale i chyba przysnił ci się ten folwark wraz z wszystkimi jego mieszkańcami.

- Ależ, pani - podejmuję - poganiacz mułów, który mnie przywiódł tutaj, widział to równie dobrze, jak ja. Tańczył na weselu.

Matka moja daje zlecenie, aby sprowadzono poganiacza; lecz wnet po przybyciu wyprzągnął on powóz, nie żądając zapłaty.

Nagła ta ucieczka, po której nie zostało nawet śladu, wzbudziła w mojej matce pewne podejrzenia.

- Nunes - zwróciła się do pazia, przechodzącego przez komnatę - udaj się do wielebnego don Quebracuernosa i oświadczyć mu, że syn mój, Alwar, i ja oczekujemy go tutaj.

- Jest to - podjęła - doktor z Salamanki; posiada on moje zaufanie i zasługuje na nie: możesz obdarzyć go swoim. Koniec tego snu zawiera pewną osobliwość, która mnie zastanawia. Don Quebracu-ernos zna się na rzeczy i wszystko to lepiej wyjaśni ode mnie.

Przewielebny nie dał na siebie czekać; zanim jeszcze przemówił, już wzbudził poszanowanie godnością swego zachowania. Matka moja kazała mi powtórzyć przed nim szczere wyznanie mojej lekkomyślności i jej skutków. Przysłuchiwał się z uwagą, a niekiedy ze zdumieniem, nie przerywając mi. Gdy skończyłem, przez chwilę skupiwszy się, rozpoczął w te słowa:

- Niewątpliwie, uniknąłeś dopiero co, panie Alwarze, najsroźszej zguby, jaka zagrażać może człowiekowi z winy jego. Wywołałeś ducha nieczystego i pozwoliłeś mu przez szereg nieroztropności przyoblec wszystkie postacie, jakie mu były potrzebne, aby cię pograżyć. Przygoda twoja bardzo jest niezwykła; niczego podobnego nie czytałem ani w Demonomanii Bodina, ani w Świecie zaczarowanym Bekkera. I przyznać trzeba, że od czasu, kiedy pisali wielcy ci ludzie, nieprzyjaciel rodu naszego cudownie udoskonalił sposoby swoich zaczepek, korzystając z podstępów, jakie wzajemnie stosują do siebie ludzie tego stulecia, aby się zgubić. Naśladuje on wiernie i z wyborem naturę samą, posiłkuje się zaletami uroczymi, wydaje wspaniałe uczyty, namiętnościom daje przemówić ich najbardziej uwodzicielską mową nawet do pewnego stopnia podrabia samą cnotę. To otwiera oczy na wiele spraw, które się dzieją; widzę stąd wiele grot, bardziej niebezpiecznych od tych z Portici, i mnóstwo opętanych, którzy na nieszczęście nie wiedzą o sobie. Co się zaś tyczy pana, to uważam cię za najzupełniej wyzwolonego, o ile teraz i na przyszłość stosować będziesz mądre środki ostrożności. Wróg twój cofnął się - jest to niewątpliwie. Wprawdzie uwiódł cię, lecz nie udało mu się zarazić cię zepsuciem. Dobra twa wola, tve wyrzuty, uchroniły cię przed tym dzięki niezwykłej pomocy, jakiej doznawałeś. W ten sposób domniemany tryumf jego i twoja porażka są dla ciebie i dla niego tylko

złudzeniem, które skrucha ostatecznie rozprószy. Co do niego - przymusowy odwrót stał się jego udziałem. Lecz podziwiaj, jak umiał go pokryć i pozostawić zamieszanie w duszy twojej

i oczekiwanie w sercu, aby móc ponowić atak, jak tylko ty sam dostarczysz mu sposobności. Olśniwszy cię na tyle, ile pragnąłeś, zmuszony pokazać się tobie w całej swej szpetocie, usłuchał jak niewolnik, który gotuje bunt. Nie zechciał ci pozostawić ani jednej rozsądnej i wyraźnej myśli, mieszając śmieszność ze

zgrozą; dziecinność swoich świecących ślimaków z przerażającym odkryciem straszliwej swojej głowy; wreszcie - kłamstwo z prawdą, sen z jawą. W ten sposób splątany twój umysł nie odróżnia już nic, tak, iż mógłbyś mniemać, że widzenie, które cię przeraziło, było raczej snem, spowodowanym oparami twego mózgu niż skutkiem jego przebiegłości: lecz starannie wydzielił on obraz tego zjawiska uroczego, którym posługiwał się długo, aby wprowadzić cię w błąd; znów je przybliży, skoro tylko mu to

umożliwisz. Nie przypuszczam jednak, aby szranki klasztoru lub naszego stanu były tymi, jakie winienesz mu przeciwstawić. Powołanie twoje nie jest jeszcze dostatecznie ustalone; ludzie, nauczeni doświadczeniem, potrzebni są w świecie. Wierz mi, zawrzyj związki dozwolone z osobą płci pięknej; niechaj czcigodna matka twoja czuwa nad twoim wyborem: a jeśliby ta, którą otrzymasz z jej rąk, miała nawet posiadać wdzięki i zalety niebiańskie, nigdy jednak nie ulegniesz pokusie wzięcia jej za diabłą.